Nr. 12 Kraków, poniedziałek 24 marca 1913. Rok IV.

Cena prenumeraty w Krakowie i na prowincyi:
z odnoszeniem i przesyłką pocztową
Kwartalnie . . . . . K. 1·80
Półrocznie . . . . . K. 3·50
Rocznie . . . . . . K. 6·—
W Niemczech i w innych Państwach Związku poczt.: kwartalnie . K. 2·50
Rękopisów nie zwraca się.

Ceny ogłoszeń:
Ogłoszenia (inseraty) za 1 wiersz petitowy lub jego miejsce 24 h
Nadesłane, wiersz petitowy lub jego miejsce 60 h
Za nekrologi za wiersz petitowy 80 h
Doniesienie o ślubach, zaręczynach itp. wiadomości po 1 Kor. za wiersz.
Osobne ogłoszenia za wyraz 8 hal. najmniej 80 hal.
Wyrazy grubszem pismem liczą się podwójnie.

GAZETA PONIEDZIAŁKOWA

WYCHODZI ZAWSZE W PONIEDZIAŁEK, O GODZINIE 6. RANO

Prenumeratę przyjmują:
zamiejscową: Administracya „Gazety Poniedziałkowej“ i wszystkie urzędy pocztowe, miejscową: Administracya „Gazety Poniedziałkowej“ główna trafika w Rynku, agencya J. Hopcasa i A. Salomonowej, ulica Szczepańska liczba 9, biuro dzienników M. Hupczyca, ul. Jagiellońska liczba 5, i biuro dzienników Blocha, ul. Gertrudy. Zamiejscową prenumeratę i ogłoszenia (inseraty) przyjmują we Lwowie biura dzienników S. Sokołowski, ulica Jagiellońska. W Przemyślu Wahl. — W Tarnowie O. Haut. W Wiedniu Goldschmied (sprzedaż pojedynczych numerów) I. Wollzeile 6., M. Dukes Nachf., Haasenstein & Vogler (także w Hamburgu, Frankfurcie n. M., Berlinie, Lipsku, Bazylei i Wrocławiu), R. Mosse (także w Berlinie, Hamburgu, Monachium i Norymberdze) H. Schalek Wollzeile. W Paryżu Societé Mutuelle Publicité A. Lorette, directeur, Rue Rougement 12.

Naczelny redaktor i wydawca: Zygmunt Rosner.
Adres Redakcyi i Admin.: Kraków, ul. Sławkowska 29 I p. Telef. 1554.
Nr. Telefonu 1018 dla rozmów zamiejscowych w niedziele od 8 wiecz.

Do nabycia na dworcu kol. i w agencyach dzienników w całym kraju.
Cena numeru pojedynczego w Krakowie 10 hal.

Kraków, 24 marca.

Wielka Noc! Święto zmartwychwstania.

Marzą się jeszcze w pamięci radosne śpiewy, odzwierciedlające wesele kościoła, święcącego wspomnienie pamiętnej w dziejach ludzkości chwili. Cały świat katolicki, cała przeto prawie Europa witała to święto zawsze z uczuciem radości, w podniosłym, świątecznym nastroju. Było to bowiem zawsze święto radości, rozbrzmiewające uroczystem „Alleluja“.

Jakżeż w tym roku inaczej powitaliśmy to święto!

Nad Europą zebrały się ciężkie chmury, grożące burzą każdej chwili. Dzisiaj, bardziej niż kiedykolwiek, horyzont polityczny zasnuł się ciemnym zwałem chmur, w których huczą grzmoty i lśnią błyskawice.

Zwłaszcza monarchia austro-węgierska odczuwa powagę chwili. Jej ludy bowiem stanęły dzisiaj wprost w obliczu burzy. Niesłychane zachowanie się małych państewek południowych wobec monarchii, prowokujące stanowisko Czarnogóry, którą o samodzielność nigdy posądzać nie można, która jest tylko pionkiem na szachownicy, znajdującej się w gabinecie petersburskiego ministra spraw zagranicznych, wywołało znowu grozę wojny, która zawisła nad ludami Austryi w całej swojej wyrazistości i przerażającej grozie.

W takim nastroju, w takich warunkach obchodzimy tegoroczne, dłuższe niż zazwyczaj święta.

Oczywiście — inaczej dźwięczały nam w takiej chwili tryumfalne głosy dzwonów, rozbrzmiewających chwałą zmartwychwstania.

Ludy Europy, dręczone półrocznem wrzeniem międzynarodowem, czekały tych świąt, przypadających na sam początek wiosny, w nadziei, że one przyniosą im ulgę, że radosne pieśni świętalne popłyną w niebo już czyste, nie zawalone chmurami, że dźwięki dzwonów rozproszą niepewność, lęk i trwogę, rozwieją widmo wojny europejskiej i w niwecz je rozproszą.

Stało się inaczej.

Dzisiaj niebezpieczeństwo wojny jest bliższe, niżby się mogło wydawać.

Wielkanoc, wielkie święto zmartwychwstania zastało Europę pod bronią, z palcem na cynglu, drżącą w obawie o to, co przyniosą dni najbliższe, a rozstrzygnięcie usuwa się na daleką jeszcze metę.

W całej Europie czuć wyczekiwanie.

Kiedy ostatecznie nastąpi decyzya — to tajemnica.

Europa nie mogła pełną piersią zaintonować „Alleluja“, któreby było wyzwoleniem jej z pod gniotącego ją alpejskim ciężarem głazu niepewności.

* * *

Dla naszego narodu wybiła właśnie w okresie świąt, właśnie w okresie powszechnej niepewności, godzina ważna i wielka. Bo właśnie teraz, przynajmniej w naszym kraju, wraz z palmową niedzielą rozbłysło słońce odrodzenia. Doszła do skutku ugoda z Rusinomi, zapewniająca bodaj na czas jakiś pokojowe obu narodów współżycie, umożliwiające rozwój i postęp.

Fakt to pierwszorzędnej doniosłości. Wytycza on bowiem społeczeństwu polskiemu w Galicyi jasne drogi pracy pozytywnej, pracy, nie wstrząsanej waśnią narodowościową, ciągłej, systematycznej, jedynej pracy, gwarantującej przyszłość szczęśliwszą. Z przesilenia, jakie przeżywamy, wynieśliśmy jedną wielką naukę, że nam potrzeba zgodnej pracy systematycznej, solidarności i organizacyi potęgi, jaką rozporządzamy. Zrozumieliśmy, że zdani jesteśmy na siebie i od nikogo niczego spodziewać się nie możemy, że jesteśmy w całem tego słowa znaczeniu kowalami własnego losu. W takiem położeniu musimy być wolni od waśni, rozdzierających i pochłaniających nasze siły. Ugoda z Rusinami ułatwi nam, tu w Galicyi, możność spokojnej pracy dla przyszłości.

Jednakże — złe duchy zaczęły kopać grunt pod wspaniałem drzewem ugody i nadgryzać korzenie wielkiego dzieła. Nie stanęliśmy jeszcze na punkcie pewnym. Możemy atoli mieć nadzieję, że solidarna wola społeczeństwa stanie się opoką, o którą się rozbiją wszelkie zakusy złych duchów, a dzieło, warunkujące rozwój nasz ekonomiczny i kulturalny, w chwale zostanie dokończone. Daj Bóg, abyśmy na to długo nie czekali, a wtedy z naszych piersi rozlegnie się potężne „Alleluja“ radości.

Zaostrzenie.
Wyjazd eskadry austro-węgierskiej na południe.

Wiedeń, 21 marca.

(wąż) W środę rano pięć okrętów wojennych austro-węgierskich opuściło przystań w Poli i wyjechało ku południowi. Dziś brak jeszcze bliższych szczegółów ekspedycyi, aczkolwiek skądinąd wiadomo, że jej celem może być tylko stanowcze poparcie kroku dyplomatycznego, jaki Austro-Węgry dziś właśnie uczyniły w głównej kwaterze wojsk czarnogórskich.

Co jest przedmiotem tej akcyi ryzykownej? Półurzędowo wytłumaczono powody tej energii niespodziewanej.

Zachodzi kilka punktów, denerwujących pogodę dyplomatyczną:

1) zamordowanie katolickiego księdza Palica w Djakowy;

2) gwałtowne nawracanie katolików albańskich na łono cerkwi prawosławno-serbskiej;

3) ostrzeliwanie dzielnic Skutari, zamieszkałych przez ludność cywilną;

4) zmuszenie załogi austro-węgierskiego parowca „Skodra“ do transportu wojsk serbskich.

Przyjrzawszy się bliżej wszystkim tym punktom, przyznać musimy, że zawierają istotnie wszystkie znamiona wykroczeń ładu międzynarodowego, które monarchia austro-węgierska winna skarcić z tą samą bezwzględnością jak w sprawie — konsula Prochaski.

Mord i gwałt, stosowany przez Serbów do Albańczyków katolickich, narusza przecież najświętsze uczucia monarchii, tak ogromnie katolickiej, jaką są właśnie Austro-Węgry. Wystarczy przypomnieć niesłychanie mężną postawę, jaką państwo to zajęło wtedy, gdy Rosya **knutem nawracała unitów podlaskich na wiarę prawosławną.** Mocarstwo katolickie wystąpiło stanowczo przeciw pogwałceniu sumienia przez despotę carskiego i szkoda ogromna, że wrodzona skromność dyplomacyi austro-węgierskiej ukryła na zawsze przed okiem spółczesnych i potomności ten krok wspaniałomyślny, który w imieniu swobody religijnej zdziałać należało.

Wobec takich precedensów, nie dziw, że Austro-Węgry zaryzykowały obecnie czyn, mogący wywołać zawikłania, jak najdalej idące. Austrya bo już taka: gdzie tylko zobaczy jaką krzywdę, zaraz gotowa ją skarcić, jeżeli przestępcą jest Serbijka, albo Czarnogórka.

I jeżeli Rosya się o to nie pogniewa.

Ale, ten właśnie, ostatni moment, stanowi w tej chwili jeszcze znak zapytania.

Gdy we wtorek ubiegły zapadło postanowienie wysłania eskadry wojennej na wody Albanii, uczyniono to niezawodnie w nadziei, że Rosya nie narobi krzyku z tej przyczyny. Na skutek różnorakich zabiegów Rosya zgodziła się na przyłączenie Skutari do Albanii w razie, gdyby wojskom oblężniczym nie udało się zdobyć twierdzy w terminie aż do zawarcia pokoju. Na tej podstawie ośmielono się w Wiedniu do nastąpienia Czarnogórze na nagniotki. Przecież nie można tych kochanych katolików albańskich puścić kantem....

I rzecz nie wygląda tragicznie — jak długo Rosya milczy. Lecz jak długo to potrwa?

Pierwszy biuletyn ze strony dyplomatycznej rosyjskiej, wydany dzisiaj, opiewa:

Operacyi flot, austro-węgierskiej i włoskiej (tymczasem stało się wiadomem, że Włochy ze swej strony wysyłają eskadrę na wody Albanii) można tak długo przyglądać się spokojnie, dopokąd akcya tych flot zachowa charakter demonstracyjny.

Z chwilą, gdy padnie pierwszy strzał, lub wysadzony zostanie na ląd jeden chociażby oddział wojsk austro-węgierskich lub włoskich, sprawa przejdzie na fazę międzynarodową.

I oto mamy węzeł nowych przeciwieństw, nowych możności konfliktu daleko idącego. Ton fletni pokojowej, który niedawno temu tak słodko zaśpiewał, zmącony został nagle przez gwizd syreny okrętów wojennych. Wsłuchujmy się w gwizd ten pilnie...!

Rola Głąbińskiego

Wiedeń, 21 marca.

(wąż) Reforma wyborcza do Sejmu krajowego stała się, jak powszechnie wiadomo, sprawą doniosłości ogólno-państwowej. Gwoli tej reformy powtrzymano normalny tok obrad Izby poselskie, odłożono załatwienie planu finansowego. Austrya czeka na Galicyę, jej potrzeby ustąpiły tym razem pierwszeństwa potrzebom kraju koronnego.

W czem polega łączność między interesem kraju a państwa, w danym wypadku?

Wołanie o reformę Sejmu od lat się rozlegające, stało się nieodpartem i naglącem z chwilą zaprowadzenia wyborów powszechnych do parlamentu centralnego. Dzieje sześciu lat ostatnich wykazały, iż dysproporcya pomiędzy sejmową a parlamentarną ordynacyą wyborczą odbija się fatalnie na prawidłowości akcyi politycznej tak Sejmu, jak Koła polskiego w Wiedniu.

To też w ciągu roku ostatniego dążenie do urzeczywistnienia reformy ordynacyi sejmowej nabrało wprost znamion namiętności. Z mocą wzrastającą przypuszczano szturm po szturmie do bastyonów bronionych zaciekle przez szlachtę wschodnio-galicyjską. Jak mało było po tamtej stronie dobrej woli do przeprowadzenia reformy, pouczyły ogół właśnie niezliczone wybiegi i wykręty, zużyte celem uniemożliwienia dzieła napiętego.

Dopiero alians w ciągu ostatnich tygodni pomiędzy narodowymi demokratami, polską demokracyą i ludowcami dokonany, a przeciw konserwatystom zwrócony przekonał ich, że Głąbiński, Leo i Stapiński dążą do reformy bezwzględnie i stanowczo, t. z.. że całe społeczeństwo polskie domaga się od konserwatystów pofolgowania.

Ten alians demokratyczny łącznie ze sytuacyą polityczną w Wiedniu, sprawił, że konserwatyści ulegając naciskowi wszechstronnemu umożliwili ostateczne porozumienie.

Stało się to na skutek układów przeprowadzonych w Wiedniu pomiędzy Rusinami a konserwatystami za pośrednictwem demokracyi polskiej, a patronatem rządu. Pomiędzy Kostiem Lewickim a Abrahamowiczem, za pośrednictwem Lea i Germana, pod patronatem Stürgkha i Zaleskiego.

Dnia 17 bm. we Lwowie dano aprobatę układom wiedeńskim.

Lecz teraz nastąpiło to, co nastąpić musiało. Wszechpolacy wywinęli koziołka.

Kto wniknął w charakter tej partyi cudackiej, ten od chwili zawarcia uroczystego aliansu demokratycznego między Stapińskim, Leem a Głąbińskim oczekiwać musiał tej drugiej chwili, w której p. Głąbiński odbiegnie swych aliantów i z tyłu na nich napadnie.

Polityka wszechpolska to bezustannie powtarzający się zygzak, z blagi i wiarołomstwa złożony.

Polityka wszechpolska z prowincyonalnym aktorem Głąbińskim i arlekinem Zamorskim na scenie, a nazwańcem Grabskim w budce suflerskiej, to splot fałszu, zawiści, kaprysu i niepoczytalności.

Fakt, iż porozumienia potrafili dokonać Leo i German znienawidzeni a szczęśliwi konkurenci demokratyczni, wystarczył dla napuszystej trupy cyrkowców endeckich do odbieżenia sztandaru, do spełnienia całkiem pospolitej zdrady.

Na konwentyklu odbytym onegdaj we Lwowie postanowiono użyć wszystkich środków „legalnych", aby nie dopuścić do uchwalenia tej reformy wyborczej, za którą poprzednio oświadczył się był p. Głąbiński imieniem wszechpolaków.

Przez środki legalne należy rozumieć obstrukcyę, przez uchwałę powziętą — wskrzeszenie liberum veto, na które powoływał się jeden z mowców na konwentyklu.

— — — — — — — —

Pozostaje wskazać na następstwa tej roboty.

Jeżeli Grabskiemu i Cieńskiemu uda się istotnie uniemożliwić uchwalenie nowej ordynacyi Sejmowej, rząd centralny zmuszony będzie wysnuć konsekwencye ze stanu rzeczy.

Pozostanie mu ta jedna tylko droga, którą dotychczas starał się ominąć.

Będzie musiał zabrać się do likwidacyi państwowo rządowego charakteru stronnictwa konserwatywnego.

Wrogowie postępu mogą raz jeszcze odroczyć przeobrażenie reprezentacyi kraju odpowiednie do potrzeb czasu, lecz nie potrafią już więcej unicestwić tego przeobrażenia.

Liberum veto — nie przyniesie już więcej zniszczenia trwałego, jak za czasów Rzeczypospolitej.

Ohydna robota.

Są rzeczy, których ohyda rzuca się w oczy. Są czyny, których nie można nazwać inaczej, jak ohydą. Taką ohydą jest akcya, wszczęta przez gromadkę podolskich panków i wszechpolaków przeciw reformie wyborczej do sejmu.

Cały kraj jednym wielkim głosem domaga się tej reformy. I jeden i drugi naród, woła o nią po prostu. Zrozumieli to właśnie nawet zaciekli konserwatyści z tzw. partyi krakowskiej, zrozumieli, że dalsze opieranie się głosowi ogółu, dalsze zatykanie uszu na ten wielki krzyk współczesności, protestujący przeciw zaśniedziałym pozostałościom z przeszłości, może się pomścić na nich samych. Cios idzie, a każda epika ma swoje wymagania i swoje konieczności. Opieranie się konieczności może być udziałem tylko ludzi szalonych, głupich. Konserwatyści krakowscy, politycy bardzo mądrzy i bardzo daleko w przyszłość patrzący, zrozumieli swój obowiązek — i dla ratowania samych siebie dali swoje „placet" na reformę wyborczą.

Zdawało się, że gdy konserwatyści i to właśnie krakowscy zgodzą się na reformę wyborczą, to jej już nic nie stanie na przeszkodzie. Nie widziano bowiem w społeczeństwie siły, poza siłą partyi konserwatywnej, o któryby się reforma wyborcza mogła rozbić i siły, któraby miała odwagę stanąć wrogo przeciw całemu ogółowi i ważyła się na zerwanie dzieła, tak doniosłego dla całego kraju.

Przekonaliśmy się jednak, że nawet po zgodzie konserwatystów na projekt reformy, ułożony kompromisowo, reforma jest mocno zagrożoną.

Istnieją bowiem w naszym kraju dwie grupy ludzi, do których miary zdrowego rozsądku przykładać nie można. Wszechpolacy, ogarnięci jakimś samobójczym szałem i robiący z polityki awanturę, dawno już złożyli dowody, że ich na seryo właściwie brać nie można. Podolacy, grupka panków podolskich, zaśniedziała w pojęciach jeszcze pańszczyźnianych, tak nie jest dzisiejszą, że mierzyć jej miarą współczesności nie można. Te dwie grupy „uwzięły się" i knują przeciw doprowadzeniu reformy do skutku.

Żadna z tych grup, sama, nie byłaby w możności obalić tak wielkiego dzieła. Ale połączone razem, mogą istotnie zachwiać całą, z takim trudem wzniesioną budową, a w rezultacie nawet ją zburzyć. Proste niejawienie się posłów tych grup na plenarnem posiedzeniu sejmu może zaprzepaścić wszystko, co dotąd osiągnięto w takich trudach i z takiem poświęceniem ze strony przewodnich partyj politycznych w kraju.

Reforma wyborcza miała być kamieniem węgielnym polsko-ruskiego porozumienia. Rozbicie jej — to odwleczenie tego porozumienia w nieokreśloną przyszłość, to narażenie kraju na rozpętanie się w nim nowych walk, to zapora, o którą się rozbija normalny rozwój obu narodów na wszystkich polach, co musi sprowadzić na oba narody nieobliczalne wprost klęski. Kiedy jak kiedy, ale teraz właśnie, gdy kraj znajduje się ruinie niemal własnego dobrobytu, zniszczonego na lat kilka-

---

Marya Český.

W przelocie.

Szkic z życia.

Siedzieli w kawiarni... rozprawiając o układach austro-rosyjskich... naturalnie, bo chwilowo o niczem innem nie mówi się w Krakowie. Przez szyby sączył się mrok gasnącego dnia, swoje trupie, zielono-liliowe tony rzucając na dwa pochylone profile, gdy z drugiej strony oświecała ich jasna fala elektrycznego światła.

— Ciekawie się wygląda w takiem oświetleniu... jakgdyby pół twarzy należało do innego człeka — przerwał polityczną rozprawę siwawy pan, spoglądając uważnie w twarz młodego sąsiada — ciekawa gra barw.

— Proszę pana telegram...

Młodszy z dwóch mężczyzn, odwrócił się obojętnie biorąc z rąk lokaja depeszę ale w tej chwili drgnął i zwrócił twarz w dobroczynny mrok płynący z ulicy... dostrzegł stacyę nadawczą...

Od niej... przebiegło go dreszczem... kurcz schwytał gardło... drżące palce rozwinęły szarawy papier...

„Dziś wieczór... w przejeździe do L... ostrożnie".

W szalony, rozwirowany krąg zlały się dyskretnie — szare ściany kawiarni, czarne sylwetki lokai z białemi plamami koszul, światła, kobiece postacie... wszystko... nawet wygolona, podwójnem światłem oświetlona twarz sąsiada, zginęła mu z przed oczu. Gdzieś z głębi duszy rwał się szloch szczęścia, graniczącego z bolem a drżące palce, zaciskały się w koło depeszy usiłując kurczowym dotykiem, przywrócić ciału niknącą samowiedzę...

Ona! ona...

Pod przymkniętemi powiekami widział jej postać: wysoką, smukłą, królewsko piękną... wracały wspomnienia i szarpały mu duszę... Te wspomnienia, takie dziwnie piękne... dalekie od zmysłowej pożogi... czuł na swoich skroniach motylowe muśnięcie jej włosów, na swoich ustach kwiaty jej rąk... chyliła się ku niemu... jak razy tyle, z pół uśmiechem na rozchylonym koralu warg... ... przecudnym, siostrzanym ruchem przejść końcami palców po jego czole i... odejść...

Kochanie, kochanie, łkało w nim... zrywało się pragnienie powrotu tych chwil niezapomnianych... Sąsiad opowiadał pół głosem o polityce bałkańskiej, budował i walił trony. Kawa stygła, a on siedział wpatrzony w przestrzeń, usiłując potęgą woli zapanować nad rozszalałemi nerwami. Powtarzał sobie dla zdobycia równowagi po raz tysiączny i któryś, że ma już siwe włosy na skroniach, żonę, dzieci, że czas już oderwać duszę od tej kobiety, która mu niegdyś wiosną i szczęściem i kwiatem, która dotknięciem swoich drobnych rąk odbierała mu wolę, skinieniem głowy niszczyła jego plany życiowe, której sylwetka rysowała mu się w duszy zawsze wtedy, gdy był już gotowy zgodzić się z codzienną miarą życia, z obowiązkami... i zamieniała mu krew w pożar, a w duszę rzucała wizyę szalonych nadziei... niespełnionych pragnień.

Chwilami kochał ją, jak się kocha jedyne i największe dobro życia. Pragnął jej, jak się słońca pragnie w chmurny, jednostajny, deszczowy dzień jesienn.y Zdawało mu się, że za jedną chwilę, któraby powróciła z przeszłości, byłby w stanie oddać całe swoje życie. A chwilami miał wrażenie niewolnika, któremu kajdany w ciało się wpiły, sprawiając szalony ból, a on ich zerwać nie umie, nie może, nie ma siły!

I czuł do niej głuchy żal, za te lata całe nadziei niespełnionych, za życie zmarnowane i za tę miłość, która była mu przekleństwem i rozkoszą, szczęściem i bolem nad miarę!

W pajęczych, niewidzialnych niciach tej miłości konała jego dusza, pragnienia i cele życiowe, a z głębin jaźni zrywała się ironia i sączyła swój gryzący jad na rany od kajdan powstałe.

— Wartoż ci było latami całemi na kolanach się za nią czołgać? Marę kochasz... Fantazyę własną zaklętą w piękny kształt kobiety... i teraz znowu poświęcasz jej skinienia i pójdziesz za przelotnie rzucone spojrzenie wziąść...

Nie idź...

Oderwij duszę... bądź silnym... mężczyzną bądź... Zapomnij...

Ach... zapomnieć...

Mimowiednie wstrząsnął głową... takiem mar-

dziesiąt naprężeniem politycznem i grozą wojny, potrzeba spokoju między narodami oboma, potrzeba spokojnej pracy staje się wprost koniecznością, warunkiem uchrony przed katastrofą.

Niweczyć reformę w takich warunkach, narażać kraj na katastrofę, celowo i świadomie, to czyn, którego nie można nazwać inaczej, jak ohydą.

Ohydną więc jest robota wszechpolaków i Podolaków; jest niepatryotyczną, nieobywatelską, jest robotą szaleńców, na których pomści się ona w czasie niezadługim.

Opamiętania! — trzebaby zawołać pod adresem tych politycznych warchołów, wskrzeszających tradycye Sicińskich, najsmutniejsze tradycye niepodległej Polski.

Czy jednak to opamiętanie przyjdzie?

Są choroby nieuleczalne nawet dzisiaj, są ludzie, nie widzący dalej, jak na odległość własnego pępka. Takimi są wszechpolacy i podolska partya, ich obłęd jest prawie nieuleczalny.

Dlatego też obawiamy się, czy istotnie nie przyjdzie do tego, że warchoły te udaremnią dzieło reformy. Wszystko się na to zanosi.

Żydzi a Polska.

(Wywiad z b. posłem Adolfem Standem).

Wiedeń, 20 marca.

(w ą ż) W powrocie ze zjazdu w Berlinie, gdzie komitet syonistyczny poczynił przygotowania do odbycia XI światowego kongresu syonistycznego, mającego się odbyć w tym roku we Wiedniu, p. Adolf Stand, były poseł, zatrzymał się tu przez dni kilka i udzielił mi interesujących informacyi o obecnej fazie ruchu narodowego wśród żydów.

Pana Adolfa Standa poznałem bliżej za czasów jego posłowania w ciągu pierwszego parlamentu ludowego. Jego politycznie opozycyjne stanowisko nie pociągnęło za sobą nigdy działań godzących w istotne interesa narodu polskiego. Wystarcza przypomnieć, że p. Stand tak samo, jak b. poseł Dr. Gabel złożyli przyrzeczenia poselskie w języku polskim.

Na rozmaitych zebraniach reprezentacyjnych p. Stand, przemawiając imieniem żydów, zamieszkałych na ziemiach polskich używa języka polskiego. Tak było np. w Bazylei na wielkim meetingu syonistycznym, lub na manifestacyjnem zgromadzeniu po śmierci Dra Herzla w wiedeńskiej sali muzycznej. Godzi się również przypomnieć, że p. Stand był jedynym żydem, który j a k o ż y d w parlamencie wiedeńskim przyłączył się do protestu przeciw brutalnemu uciskowi Polaków pod panowaniem pruskiem i postępowanie rządu zaborczego napiętnował w osobnem przemówieniu. Burmistrzowie Krakowa i Tarnowa, dzisiejsi posłowie Dr. Leo i Dr. Tertil, telegramami gratulacyjnymi podziękowali p. Standowi za to jego wystąpienie.

Świadomy przyjaznych uczuć ,jakie p. Stand żywi dla myśli polskiej w jej oderwaniu od bieżących zagadnień politycznych, zwróciłem się do niego jako uznanego przewódcy syonistów galicyjskich z prośbą, aby mi wyłuszczył zapatrywania swe na s t a n o w i s k o, j a k i e s y o n i ś c i z a j m u j ą w o b e c r e n e s a n s u p a ń s t w o w e j m y ś l i p o l s k i e j.

P. Stand oświadczył:

Skoro nasz ruch syoński służy celom analogicznym, rozumie się, że stronnictwo nasze odnosi z wielką sympatyą do niepodległościowej myśli polskiej. Skoro my chcemy odrodzić żydów ekonomicznie, społecznie i moralnie na ich ojczystej ziemi (w Palestynie) to każdy ruch renesansowy wśród innych narodów, witamy z uznaniem pełnem.

Wogóle sądzę, że gdyby wśród żydów nie było pewnych szkodliwych i bruździących elementów ,które kopią nieistniejącą w rzeczy samej przepaść między narodem żydowskim-polskim, porozumienie stanowcze by nastąpiło.

Z licznych dowodów w tym względzie jeden wskażę na przykład.

Zbieramy w całym kraju na rzecz powstać mającego w Jerozolimie gimnazyum hebrajskiego składki dobrowolne, który dosięgły obecnie kwoty 60.000 koron .Na rzecz tę kahał lwowski przeznaczył 1000 koron. Przeciw udzieleniu datku tego zaprotestowało pewne stowarzyszenie żydów asymilatorów, uzasadniając protest zarzutem, iż gimnazyum służyć będzie celom antypolskim. Każdy człowiek, myślący objektywnie, jednak przyznać musi, że argument taki jest niedorzeczny. W czem może się objawić i działać antypolskość szkoły w Jerozolimie. Czy przez udzielanie lekcyi fizyki lub geografii w języku hebrajskim? Takiemi sztuczkami nie osięgnie się zbliżenia.

Pracując całą siłą nad pogłębieniem myśli narodowej żydowskiej wśród żydów, nie tylko nie jestem wrogiem polskości, za jakiego mię chcą uważać pewne sfery, ale mam pełne zrozumienie dziejów polskich i żywię uczucia, przychylne dla polskich ruchów niepodległościowych. W tym względzie podpisuję też każde słowo w artykule Dra Dawida Malca, zamieszczonym w ostatnim numerze „Krytyki“ krakowskiej. Powitałbym też z radością ten dzień szczęśliwy, któryby przyniósł porozumienie na tle wzajemnego uznania wewnętrznych dążności obu narodów.

Pojmuję w zupełności i szacunek żywię dla całego ruchu niepodległościowego w Polsce b e z z a s t r z e ż e ń.

Tego samego żądam dla naszego narodu.

Działalność polskich ministrów
w gabinecie Stürgkha.

Kiedy się pojawiły pogłoski, że poseł Długosz ma być ministrem nietylko polityków zawodowych ale także szerokie sfery wyborców interesowała jedna myśl: czy ten młody, zupełnie terenu parlamentarnego nie znający poseł zdoła odpowiedzieć zadaniom, jakie go czekały na stanowisku ministra dla Galicyi. I zadawano sobie nawet pytanie, czy wysunięcie tak młodego parlamentarzysty na ministra nie jest eksperymentem zbyt śmiałym ze względu na dobro kraju. Poseł Długosz został ministrem. Oczy wszystkich zwróciły się na niego, śledząc bacznie jego działalność. I w miarę, jak ekscelencya Długosz oswajał się z tym nowym urzędem, ogarniało wszystkich zdumienie. Nowy minister, który nigdy nie był urzędnikiem, rozeznał się odrazu w całym kompleksie najbardziej zawiłych spraw i rozwinął działalność tak intenzywną, tak szerokie obejmującą kręgi, że największych sceptyków nietylko zadowolnił, ale uczynił z nich największych swoich zwolenników. Na stanowisku ministra dla Galicyi nie widziano dawno człowieka tak pracowitego, tak rzutkiego i, trzeba to odrazu powiedzieć, tak nadzwyczaj szczęśliwą mającego rękę we wszystkiem, czego się tknie, jak właśnie ekscelencya Długosz.

Aby ogarnąć całokształt dotychczasowej pracy ministra Długosza, warto przeglądnąć chociażby pobieżnie najważniejsze dzieła, jakich dokonał.

Rok ubiegły był rokiem klęski dla rolników. Minister Długosz, jako poseł ludowy i członek partyi ludowej, zajął się całem sercem sprawą uzyskania od rządu jak najdalej idącej pomocy dla dotkniętej klęską ludności. Usiłowaniom jego, jako też usiłowaniom drugiego polskiego reprezentanta w rządzie, ministra skarbu Zaleskiego, udało się to pomoc uzyskać i to pomoc bardzo wydatną. Uzyskano bowiem: 1) Około 1000 wagonów odpadków soli i 150,000 K na koszta transportu tej soli, która ma być bezpłatnie rozdzieloną pomiędzy chłopów; 2) Zakupiono 1500 wagonów grysu, na co rząd wypłacił sumę 1,350.000 K; 3) Udzielono milion koron na pożyczki bezprocentowe dla średniej własności; 4) Celem udzielenia pożyczek bezprocentowych dla małych rolników udzielił rząd patronatowi kas Raiffeisena 620.000 K na pokrycie procentów od sumy 3,000.000 K na okres trzechletni; 5) Udzielono subwencyi 600.000 K dla towarzystw rolniczych na sprowadzenie nasion koniczu i t. p. z zagranicy, z Francyi i t. d.; 6) Udzielono 1,000.000 K na jak najrychlejsze rozpoczęcie z wiosną robót publicznych na drogach powiatowych i gminnych.

Same te cyfry, jakieśmy przytoczyli, mówią najlepiej, ile trudów i zabiegów musiało kosztować wydobycie ich od rządu, nie lubiącego nadwerężać skarbu państwa na rzecz Galicyi. Zwłaszcza gorąco interweniował minister Długosz w sprawie, wymienionej w 6 punkcie powyżej. Szerokie masy ludności bowiem domagały się nie udzielania ziarna na zasiewy in natura, lecz udzielenia zarob-

---

nem wydało mu się życie bez tej kobiecej postaci, do której wspomnienia duszą przyrósł.

Zapomnieć...

Spojrzał na depeszę... czerniła się przed nim równym szeregiem drobnych liter...

„Dziś... wieczór...“

Szalone serce... łomotasz w piersi jak na radość bezmierną... wolno ci iść i zobaczyć przez chwilę, z daleka wizye kobiety kochanej... wolno ci truć się haszyszem wspomnienia na dalsze życie znowu... wolno ci wchłonąć w siebie ruch, uśmiech, spojrzenie, by zmartwychwstawało w samotnych godzinach, przejawiło ci się w kolumnach cyfr, stawało pomiędzy tobą a obowiązkiem i szaleństwem tęsknoty żarło ci krew.

— O czem pan rozmyśla?... od kwadransa mówię, a pan nic... jak gdyby skauci, strzelcy, rada narodowa i cała nasza Galicyada z Wawelogrodem leżała co najmniej na drugiej półkuli i nie interesowała pana... Może w depeszy była jaka wiadomość zła?...

— Nie... nic ważnego... głowa mnie tylko boli. — jego zmieniony, wzruszony głos uderzył sąsiada.

— Z pewnością na katar się zanosi... przeklęta wiosna... Najlepiej do domu iść... niech żończia lipowego kwiatu zrobi, w pierzyny się zakopać, wypocić... jodynę... Na drugi dzień, będzie pan jak narodzony na nowo.

Mimowolny skurcz uśmiechu przebiega mu usta... żończia... kwiat lipowy... pierzyny,,, Dusi go powietrze tej kawiarni, w której przecież rezyduje co dnia, tak, że jego sylwetka stała się niejako uzupełnieniem szarawych ścian... nuży go ten rozgwar... zdaje mu się, że pomiędzy temi główkami pań a przeważnie łysawemi głowami panów prześlizguje się bezszelestnie gad obmowy... i sprawia mu to dzisiaj niemal fizyczny ból...

Bo może jutro takie dwie głowy pochylą się, by jadem słów obryzgać jego i... ją.

— Rzeczywiście... jest mi coś nieszczególnie... przejdę... się trochę... Parie!...

A serce tak bije... taka w niem wiosenna radość oczekiwania... miałby ochotę oprzeć głowę o chłodny marmur stolika i płakać... płakać... może by z temi łzami spłynęła ta radość, taka bolesna w swojem podłożu...

W tej chwili ma wrażenie jakiejś podwójnej osobowości złożonego życia.

Jedno jego „ja“ przeżywa chwile mającego nadejść spotkania, szaleje, łka... drugie płaci, wkłada paletot, ściska rękę towarzysza... uśmiecha się, kłania, wszystko miarowo i spokojnie...

Pierwsze umiera z trwogi, z tęsknoty... drugie, zatrzymuje się, by wysłuchać kilku słów starej ekscelencyi, która raczyła go zauważyć i z przymarłym do ust uśmiechem, dziwi się w przerwach:

— Tak

— Doprawdy?

— Zadziwiające...

Ekscelencya powiada coś, ściska mu rękę... jakiś żart, na który jego drugie „ja“ reaguje równie dowcipnie i śmieje się zupełnie naturalnie, gdy pierwsze z niepokojem myśli o zmroku, zalegającym ulice, o godzinie spotkania.

Trzy kwadranse jeszcze... trzy kwadranse...

Wyszedł wreszcie na ulicę... płuca jego wciągają z rozkoszą chłodne, wonne powietrze... subtelną pieszczotą kładzie się na jego rozpalonej twarzy powiew wiatru... Cisza i zmrok plant, ogarnia go dobroczynną szaro-fijołkową przestrzenią... odpycha... nie potrzebuje już kłamać uśmiechu, ni zainteresowania. Pierwsze powiewy wiosny, sunące się do koła, budzą w nim odległe wspomnienia rodzinnej wsi, pól budzących się do życia i przesmutne uczucie... że on już swoją wiosnę przeżył... że czary lata zostały poza nim i oto stoi na progu jesieni...

Jesieni?!... — coś się w nim śmieje i dziwi, płacze i drwi... jesieni...

A serce bije taką szaloną, młodą, potężną radością bez jutra i bez wczoraj... jaką uderzało pod studenckim mundurkiem... Szalone serce...

Chociaż... dlaczego?...

Czyż nie można na progu jesieni odczuwać czaru wiosny... upajać się wonią kwiatów i tęsknoty życia nosić w sobie...

Przecież z niej lata nie prześliznęły się bez śladu... przecież i tę jego cudną, wyśnioną kobietę przestało już życie ubierać bielą primaver i lilii... coś z oszołamiającej róży purpurowej ma dzisiaj w sobie... rozwitej w słonecznym skwarze... wyzywającej usta, by utonęły w krwawej purpurze liści... zanim je burza jesienna rozniesie.

Jesieni i wiecznie jesieni... gdy wkoło wiosna!

ku dla najbiedniejszej ludności na wsiach. Z takiego postawienia sprawy wynika korzyść podwójna. Nietylko bowiem najuboższa ludność będzie mieć zarobek, ale, ponieważ fundusze przeznaczone są na naprawę dróg, w ten sposób będzie można polepszyć stan dróg, pozostawiający dziś jeszcze dużo do życzenia. Należałoby sobie życzyć, ażeby i w przyszłości zużywano w ten sposób przeznaczane przez rząd na pomoc z powodu klęsk elementarnych sumy. Fakt, że szerokie masy ludowe domagały się właśnie takiego, a nie innego załatwienia sprawy, dowodzi tylko postępowego zrozumienia potrzeb krajowych przez lud.

Wreszcie uzyskano od rządu pół miliona koron na roboty melioracyjne, których szczegółowe projekty ma przedłożyć Wydział krajowy.

Oczywiście jako reprezentant kraju w rządzie, nie mógł ekscelencya Długosz zapomnieć o miastach. Ponieważ zaś obecnie okazała się potrzeba przyjścia z pomocą również ludności miast, rozwinął ekscelencya Długosz energiczną akcyę i w tym kierunku. Chodzi o dostarczenie szerokim sferom ludności miejskiej zarobku. Zabiegom ministra Długosza i ministra Zaleskiego zawdzięczać należy to, że we Lwowie rozpoczęta będzie kanalizacya Pełtwi, na którą uzyskane zostaną znaczne fundusze i budowa gmachów państwowych. Niemożność rozpoczynania nowych budowli, na które już fundusze były uzyskane, jakoteż niemożność kolaudacyi wykonanych budowli i wypłaty należytości leżała głównie w tem, że w Namiestnictwie brakowało sił technicznych. Warto przy tej okazyi nadmienić, że ten brak właśnie był powodem niewyrobienia kredytu na telefony w Galicyi już od lat kilku. Obecnie za staraniem ekscelencyi Długosza poleciło ministerstwo robót publicznych rozpisanie konkursu na 10 posad urzędników technicznych w VIII i IX randze. Jest nadzieja, że na skutek konkursu zgłosi się potrzebna ilość fachowych techników i nie będzie potrzeba sprowadzać sił pomocniczych z Czech, co nawet było już zamierzonem.

Sprawa uzyskania funduszów na dalsze prowadzenie regulacyi rzek kanałowych, stanowi obecnie przedmiot gorących zabiegów ministra dla Galicyi i będzie w najbliższym czasie załatwioną.

Że Galicya tak dużo stosunkowo od rządu uzyskała, to jest istotnie zasługą obu polskich przedstawicieli w rządzie. Ekscelencya Zaleski jako minister skarbu, pomimo trudnej sytuacyi finansowej, spowodowanej ogromnymi wydatkami wojskowymi na częściową mobilizacyę, zdołał jednak dla Galicyi uzyskać jak najwięcej funduszów. Minister Długosz, człowiek zupełnie niezawisły, praktyczny, pilnował spraw krajowych z całą konsekwencyą i wytrwałością. Przymioty te cechują wogóle ekscelencyę Długosza, który nie zapomni o najdrobniejszej nawet sprawie, poruczonej przez którego z kolegów-posłów, każdą poprze, każdą się gorąco zajmie. I znowu trzeba przyznać, że we wszystkiem towarzyszy mu przysłowiowe już jego szczęście. Ma poprostu szczęśliwą rękę we wszystkiem. Członkowie gabinetu nazywają go nawet z tej przyczyny dzieckiem szczęścia.

To jego szczęście wpłynęło zdaje się na cały gabinet hr. Stürgkha, o którym zupełnie słusznie można powiedzieć, że naprawdę ma dużo szczęścia. Jeżeli zaś uda mu się przez współdziałanie ministrów polskich przeprowadzić w Sejmie galicyjskim reformę wyborczą, i stworzyć pierwszą platformę dla zgodnego współżycia obu narodów w Galicyi, dalej, jeżeli zdoła przeprowadzić plan finansowy, a temsamem sanacyę finansów krajowych, to istotnie gabinet ten zapisze się we wdzięcznej pamięci ludów austryackich.

W sprawie przeprowadzenia reformy wyborczej do Sejmu galicyjskiego polscy ministrowie rzeczywiście wybitną odegrali rolę. Minister Długosz wychodził ze stanowiska, że zgoda i zgodna praca wszystkich warstw społecznych jest podstawą rozwoju na wszystkich polach prac ekonomicznych, że sił nie powinno się zużywać na walki partyjne, że zadaniem każdego poważnie o dobro kraju dbającego obywatela, powinno być usuwanie wszelkich różnic, stanowiących powody walk klasowych. Na takie walki my jesteśmy za biedni, my, którzy mamy przed sobą zadanie ekonomicznego odrodzenia się. Z tego założenia wychodząc, musi się dojść do przekonania, że reforma wyborcza leży nietylko w interesie stronnictw demokratycznych, ale także konserwatywnych, aby ostatnia zapora do znalezienia się na wspólnem polu pracy wszystkich warstw równouprawnionych została nareszcie usunięta. Przeprowadzenie reformy wyborczej stało się koniecznością państwową pierwszej klasy. I dlatego minister Zaleski, jakkolwiek konserwatysta, w głębokiem zrozumieniu, że każde zwleczenie tej tak doniosłej sprawy jest szkodliwe, do urzeczywistnienia jej energicznie ręki przyłożył.

Ponadto ministrowie polscy mają cały szereg spraw bardzo ważnych dla kraju, do których już albo poczynili przygotowania, albo wdrożyli kroki do ich przeprowadzenia.

Dzięki usilnym staraniom ekscelencyi Długosza oczekiwany od lat całych z niecierpliwością postulat ludowy, mianowicie ustawa emigracyjna, już w najbliższej sesyi zostanie przedłożoną parlamentowi. Również na wiosnę przyjdzie pod obrady parlamentu przedłożenie doniosłego dla kraju znaczenia, mianowicie przedłożenie o kolejach lokalnych. Wpłynie znowu do kraju kilkadziesiąt milionów, a nowe arterye komunikacyjne przyczynią się do ekonomicznego podniesienia Galicyi.

Sprawa noweli kanałowej wobec zaniechania obstrukcyi ruskiej zostanie też zapewne wkrótce załatwiona.

Do przeprowadzenia tych wszystkich spraw potrzeba przedewszystkiem silnego, jednolitego Koła Polskiego. Z tego, cośmy wyżej powiedzieli widać, że w radzie koronnej mamy ogromnie pracowitych i ogromnie krajowi oddanych przedstawicieli. Jeżeli Koło Polskie będzie jednolite, to ileż ono wraz z takimi członkami gabinetu zdoła dla kraju uzyskać! Hasłem naszem powinna być tedy praca wspólna, a nie waśnie partyjne.

Hungariana.

Tisza.

Opowiadają sobie w Budapeszcie, że jeden z urzędników państwowych podniósł przed świętami swoją noworoczną pensyę, by córeczce swojej — był wdowcem — sprawić miły wieczór wigilijny. Idąc po zakupna, dał się namówić na partyjkę. Po północy dopiero wrócił do domu: bez pieniędzy, bez drzewka, bez świeczek i bez zabawek, czekającemu dziecku oznajmił jąkając się: „Tego roku niema świąt, Stefan Tisza tak zarządził... święta zostały przeniesione na pierwszego lutego“.

I mała uwierzyła politycznej wymówce.

Dlaczegóżby nie? Hrabia Stefan Tisza, ten dobry pasterz, który wejścia do parlamentu obsadza bagnetami, by tylko do głosu uprawniona trzoda wejść mogła, hrabia Stefan Tisza, ten pasza z Biharu, który spóźniwszy się z polowania do pociągu, każe pociąg pośpieszny cofać z najbliższej stacyi, hrabia Stefan Tisza, ten „gentleman“, który w wagonie, gdy podróżni nie chcieli się zgodzić na otwarcie okna, wybił szybę pięścią i karę zaraz zapłacił konduktorowi — hrabia Stefan Tisza... dlaczegóżby nie mógł rządzić i kalendarzem? Właściwie powinnoby się kochać tego człowieka, gdy będzie świat starszym o stulecie, to z odległości będą znów ludzie spoglądać z przebaczającym zachwytem i na niego, jak spogląda się na wszystkich wielkich złoczyńców historyi. Podziwiamy w nich geniuszy woli, ze wstydem i trwogą, słabości, niewolnictwa, wyrzeczenia się. Jeżeli przyszłe generacye nie będą go kochać, to będą go szanować z konieczności. Ten polityczny zbrodniarz na fotelu prezydenta, jest ostatnim wyrazem panowania panów na Węgrzech. Przed rampą szaleje jeszcze niepokonana samowola, poza nią czają się już duchy śmierci, czekając wezwania. Ten tylko, kto od przyszłości niczego nie oczekuje, zadowalnia się chwilowym tryumfem swojej siły. Brakuje powietrza... tchu... oszalały straceniec wybija pięścią szybę... Stefan Tisza i klasa, której on służy, wiedzą, że występki przeciw regulaminowi pociągają za sobą karę, a że pomimo tego nie mogą postępować inaczej, dowodzi to rozpędowej siły życia, ale i tego, że wyrok sądzący jest już blizko.

Reforma wyborcza.

Z pewnością najciekawszy objaw zmiany życia duchowego na Węgrzech wywołała reforma wyborcza. Piosenki ludowe, które dawniej opowiadały o czerwonych jabłuszkach, połamanych skrzypcach, barwnych chusteczkach, ciemnych oczach, otrzymały obecnie nowe teksty. Przy starej czardaszowej melodyi śpiewa się teraz n. p. „Powszechne, tajne prawo głosowania dajcie nam“ — „Patryotami będziemy wtedy nie wagabundami bez ojczyzny“.

Nad upadkiem liryki wprawdzie nie jeden filolog wyleje łzy, ale zrozumiałem to jest dla każdego, że: naród, który w swoim marszu narodowym tak jasno i wyraźnie swój cel określa, jest już w drodze do niego.

---

wiosna! Drgnął, przed nim wyłoniła się z mroku sylwetka dworca kolejowego w żółtawym blasku świateł.

Spojrzał na zegarek...

Dziesięć minut jeszcze... wiek... mgnienie...

Wróć się... coś szepnęło mu w duszy z nakazującą siłą... wróć się...

Ale w tej chwili wspomnienie zarysowało mu tak żywo w pamięci postać ukochaną, że wszystko znikło, cokolwiek nie było nią i została tylko olbrzymia tęsknota i radość.

Za dziesięć minut... — śpiewało mu coś w duszy.

— Za dziesięć minut... zdawały się szeptać dzwonki sygnałowe, uśmiechnięte twarze ludzi.

— Na jedną minutę... — wdarło się dysonansem w akord radości, rzucając w oczekiwaniu pewność rozstania...

Przypomniało mu się słowo depeszy „ostrożnie“, więc cofnął się między worki i pakunki drugiego peronu, jego ciemna sylwetka wsiąknęła w tło drzwi do magazynu... rozszerzone oczy śledziły wskazówki zegaru... posuwają się tak wolno... tak wolno...

Nareszcie... gdzieś z daleka nadlatuje turkot pociągu, na szynach świeci krwawy refleks latarni... wydają się one czemś żywem w tem oświetleniu... i wabią...

— Jaką rozkoszą byłoby położyć głowę na tym pasie świetlnym... pod kołami... co za spokój... — myśli jego pierwsze „ja“, a drugie odpowiada — więc cię życie jeszcze nie nauczyło rozsądku... szaleńcze... życie przeżyć trzeba... Dusza twoja należy miłości twojej... życie i siły obowiązkom...

Oczy przesłania mu purpurowa mgła, czeka na wizye tej twarzy, takiej znanej, takiej kochanej.. upatruje jej w oknach wagonów.

I widzi ją nareszcie w ramie okna... widzi jej wielkie, wspaniałe oczy, bijące jak skrzydła spłoszonego ptaka o oświetloną przestrzeń peronu... rozchylone jak do szeptu usta.

I dusza rwie mu się do niej, chciałby się rzucić przed nią na kolana, objąć ramionami jej postać kochaną i skarżyć się i płakać jak dziecko...

— Co ty zrobiłaś z życiem mojem... z duszą moją?!... Dlaczego duszy od ciebie oderwać nie mogę i ciągnę się śladami twoimi... ty... ty... ukochana! Czyż nie wiesz, że życie mija... a ludzie, to kwiaty na łące... sierp im grozi co chwila...

Całą siłą woli zmusza się do wytrwania w cieniu drzwi, oczy jego tylko wpijają się w jej twarz, dusza jego woła jej duszy tysiącem nazw w chwilach szczęścia zrodzonych... spójrz! spójrz!

Ich oczy łączą się, chłoną spojrzeniem... widzi, jak ręka jej szuka oparcia... jak kurczowo wpijają się smukłe palce w aksamit, a ból niewysłowiony drży w kącikach ust i oczy jej zakrywają na chwilę cienie rzęs...

Mimowiednie i on odrywa spojrzenie i widzi szarą, dobrze znaną sylwetkę przed oknem wagonu... Sylwetka ta śmieje się, mówi, rozgląda z wyrazem wyżła wietrzącego trop zwierzyny...

A oczy kobiety lgną znowu do postaci nieruchomej, wtulonej w mrok... i piją spojrzenia tęskoty niewysłowionej... męki serdecznej.

Szara sylwetka niknie w wagonie... Przez chwilę widzi smukłe palce, dotykające ust purpurowych... wizya pocałunku pali mu usta... a potem silne, rozrosłe plecy zasłaniają okno...

Koniec... koniec... — jęczy mu coś w duszy...

Przeraźliwy gwizd lokomotywy napełnia drwiącym śmiechem halę kolejową... pociąg rusza...

Czy to kajdany tak dzwonią, dźwigane przez nich oboje... przez życie całe...

Przymyka oczy... ma wrażenie, że te ciężkie koła toczą się po jego duszy... i depcą... depcą nielitościwie... że halę napełnia łkanie i drwiący śmiech, lecący z pod tych kół

Boże... czy ja szaleję... Kobieta moja... jedyna... jedyna!

— Niewolnicy... niewolnicy... — jednostajnie mruczą koła pociągu, dążącego w siną dal... niewolnicy.

Mężczyzna wychodzi ze stacyi... chód jego jest powolny, linia ramion opadła... tak wyglądają może dusze snujące się nad brzegami świętych wód zapomnienia... i nie mogące przylgnąć do nich spragnionemi ustami. Ciemna, litości a noc chłonie w siebie tę sylwetkę czarną, pochyloną... niewolnika, dążącego do kajdan obowiązków codziennych i... codziennych boli.

Kraków, 16/III 1913.

Jeszcze jeden objaw korzystny. Jak przy wszystkich wielkich zmianach ci, którzy dobijają się do bram („szańcami konstytucyi“ zwą je na Węgrzech), mają po swojej stronie także inteligencyę. Mówiąc o tem, trzeba przypomnieć socyalno-naukowe towarzystwo w Budapeszcie, nie dawno obchodziło ono swój dziesięcioletni jubileusz. Czem stanie się dla przyszłości nowych Węgier to naukowe stowarzyszenie pracowników, wykaże dopiero przyszłość w całej pełni — budzi ono właściwe zrozumienie społeczno-politycznego życia, starając się frazeologię zastąpić czynami i szukać punktów stycznych dla Węgier na zachodzie. Gdy przed pięciu laty, hrabia Juliusz Andrássy - syn, minister gabinetu koalicyjnego, w przekonaniu o swojem zupełnem usunięciu zrezygnował z tytułu przewodniczącego w towarzystwie socyalno-naukowem, usiłował jeden z młodych literatów przeprowadzić uchwałę wyrażającą żal z powodu ustąpienia ministra. Na burzliwem posiedzeniu, któremu przewodniczył profesor Juliusz Pikler, znany socyolog, filozof i prawnik, wystąpiły tak silnie przekonania radykalne stowarzyszenia, że wszystkie odcienie konserwatystów w oburzeniu rozpoczęły alarm, a socyalno-demokratyczna prasa głosiła, że: postępowe mieszczaństwo Węgier narodziło się.

Pomysłowy młody pan, który rezolucyę przeprowadzić usiłował, wyzwał Juliusza Piklera na pojedynek. Stanął więc z jednej strony paniczyk z rycerskim kodeksem, z drugiej zaś autor wielu poważnych naukowych dzieł, stare i nowe Węgry w upostaciowaniu.
dunajskich tekst nowego czardasza „Powszechne,

Już wtedy śpiewano na placach i ulicach nadtajne“, opierano się wtedy na obietnicy Monarszej (obietnicy „korony“, jak się tam wyrażają) i przedstawiciele robotników musieli zwalczać ironiczny tytuł nadany im przez lud k. u. k. socyalistów nadwornych. Latami całemi starano się potem reformę wyborczą odwlec, teraz nareszcie przedstawiono projekt rządowy — nie pytajcie jaki — według stopy podatkowej, najniższy wiek lat 30 dla niektórych kotegoryi wyborczych, świadectwo wieloletniej stałej służby u jednego chlebodawcy, we wsiach głosowanie jawne — oto próbki z rządowego przedłożenia. Ten dziwoląg nie zadowolni z pewnością postępowych wymagań sfer oświeconych i z pewnością nie wpłynie na uspokojenie, na zmianę dzielnego tempa starych piosenek o nowym tekście. Hrabia Juliusz Andrássy powiedział swego czasu: „Bośnię zdobędziemy muzyką wojskową“. Węgierska demokracya może z większą pewnością prorokować, mówiąc: Państwo zdobędziemy melodyą czardasza!“

Sprawa pokoju na Bałkanie.

Europa zabrała się na seryo do przyśpieszenia pokoju na Bałkanie i położenia kresu wojnie, od sześciu miesięcy nerwującej Europę. Mocarstwa już się ze sobą porozumiały co do warunków pokojowych, na których podstawie podejmą się pośrednictwa. Posłowie mocarstw uczynili w sobotę wspólny krok w stolicach państw bałkańskich i złożyli następujące oświadczenie:

Mocarstwa przyjmują z zadowoleniem do wiadomości zgodzenie się na pośrednictwo przez państwa związkowe i stwierdzają, że przed rozpoczęciem omawiania warunków pokoju jest rzeczą mocarstw formułować podstawy mających być przedsięwziętemi rokowań. Podstawy te są następujące:

1) Granicę Turcyi europejskiej tworzy się przez linię **Enos-Ergene-Midia.** Wszystkie obszary na zachód odstępuje się państwom związkowym, z wyjątkiem Albanii, której prawnopaństwowe stosunki i granica zastrzeżone będą mocarstwom.

2) Uregulowanie **kwestyi wysp Egejskich** również zastrzeżone będzie mocarstwom.

3) Turcya stwierdza swoje **„desinteressement“ co do Krety.**

4) Mocarstwa **nie mogą się oświadczyć za odszkodowaniem wojennem,** dopuszczą jednak państwa związkowe do komisyi dla uregulowania ich udziału w ottomańskim długu państwowym i finansowych ciężarach obszarów, które im będą przyznane. Turcya będzie również reprezentowaną w tej komisyi.

Mocarstwa są za tem, aby **przed przyjęciem tych preliminarjów kroki nieprzyjacielskie były wstrzymane.** Gdyby państwa związkowe nie przyjęły tych projektów mocarstw, oświadczają one, że nie możnaby na mocarstwa liczyć przy regulowaniu finansowych i innych kwestyi, które będą potrzebne po zawarciu pokoju.

Ministrowie oświadczenie to przyjęli do wiadomości, i odpowiedzieli, że po porozumieniu się ze sobą udzielą odpowiedzi.

Kiedy państwa bałkańskie zdecydują się dać odpowiedź na te warunki, niewiadomo. Zdaje się jednak, że nie prędko, bo chodzi im dzisiaj o przetrzymanie jeszcze kilku tygodni, w czasie których i Adryanopol i Skutari będą musiały kapitulować. Kwestya odszkodowania wojennego nastręczy też jeszcze dużo trudności. Wobec tego pokój na Bałkanie nie jest jeszcze wcale tak blizki.

Nowe ustępstwo Austryi na rzecz Rosyi.

(Tel. wł. „Gaz. Poniedz.“)

Wiedeń, 24 marca.

Półurzędowo potwierdzają wiadomość londyńskiego „Times'a“, że **za cenę zgody z Rosyą** dyplomacya austryacka **przyjęła formałę rosyjską,** wedle której **Diakowa ma przejść pod panowanie serbskie.**

Nieudolność Berchtolda i jego doradcy.

Wiedeń, 24 marca.

(Wąż). Wiadomość, że **Austro-Węgry wyrzekły się Diakowy na rzecz Serbii i to bez równoczesnego ustępstwa Rosyi w sprawie Skutari,** wiadomość ta, łącznie z **lękliwem wystąpieniem monarchii w sprawie zatargu z Czarnogórą,** wywołała w tutejszych kołach politycznych wrażenie wprost **przygnębiające.** Wyraża się to uczucie zawstydzenia przedewszystkiem w większej części dzienników wiedeńskich, które stale popierały politykę Berchtolda, mimo jej zygzakowatości, mimo jej wahań i odwrotów. Obecnie nikt nie wątpi, że **hr. Berchtold okazał się ministrem nieudolnym,** który nie potrafił uskutecznić przeprowadzenia programu, przez siebie samego skonstruowanego.

Bo cóż się stało z owymi minimalnymi postulatami, które przedłożono w jesieni, przed kilku miesiącami, jako program Austro-Węgier? **Hr. Berchtold kawałkami pozwalał sobie wydzierać i w strzępy targać ten program,** cofając się ustawicznie przed groźnie zmarszczoną brwią cara.

Stoimy przed zagadką.

Z kół samej dyplomacyi austro-węgierskiej słychać, że **hr. Berchtold** w ciągu całego przesilenia **nie robił wcale swojej własnej polityki. Wypytywał się poprostu swoich szefów sekcyi o zdanie** i przechylał się ciągle to na tę, to na tamtę stronę.

„Reichspost“ wczorajsza w artykule wstępnym w formie listu otwartego do hr. Berchtolda, konstatuje, że **hr. Berchtold dawał się powodować prywatnemu doradcy** i porównuje go z hr. Mensdorfem, który jako minister spraw zagranicznych był narzędziem w ręku Esterhazy'ego i zawinił rok 1866. Obecnego doradcy hr. Berchtolda „Reichspost“ nie wymienia po nazwisku, ale w kołach dyplomatycznych pozasłużbowych obiega **nazwisko tego doradcy, który zawinił największą klęskę dyplomatyczną Austryi ze strony Rosyi. Doradcą tym jest Juliusz Scilassy de Scilas,** były pierwszy radca ambasady austryackiej w Petersburgu, obecnie **szef sekcyi ad personam.**

Hr. Berchtold, objąwszy tekę **ministra** spraw zagranicznych, odrazu powołał Scilassy'ego do siebie i słucha pilnie podszeptów tego dyplomaty, który już w czasie swego pobytu w Petersburgu **zdradzał skłonności moskalofilskie i skłaniał się do podporządkowywania interesów austro-węgierskich dyspozycyom rosyjskim.**

Teraz dopiero urzędowanie Kalnoky'ego, Gołuchowskiego, Aehrentala nabiera znaczenia poważnych sukcesów. Ministrowie ci również musieli bezustannie rozprawiać się z Rosyą, ale nie narazili na szwank znaczenia monarchii. Era rządów hr. Berchtolda pozostanie w dziejach Austro-Węgier tragicznym rozdziałem. Powszechnem musi być życzenie, aby ten rozdział skończył się jak najprędzej.

Zatarg Austryi z Czarnogórą.

Austrya grozi.

We wczorajszym numerze „Fremdenblattu“ pojawił się artykuł, przedstawiający oficyalnie zatarg Austryi z Czarnogórą i zamiary Austryi co do dalszego rozwoju tego zatargu.

Między Austro-Węgrami a Czarnogórą istnieją obecnie — pisze „Fremdenblatt“ — trzy kwestye. Pierwsza dotyczy ostrzeliwania miasta Skutari. Bombardowanie, trwające od kilku miesięcy, wyrządziło w mieście olbrzymie szkody i naraziło ludność na straszne cierpienia. Czarnogóra taksamo odmówiła pozwolenia na wyjście ze Skutari ludności cywilnej, czego się domagała cała Europa, jak nie usłuchała upomnienia Europy, aby przestała bombardowania Skutari, bo miasto to w każdym razie do niej należeć nie będzie.

„Opinia publiczna Austro-Węgier (cytujemy dosłownie) domaga się jednakże głośno i jak najprędzej remedury tych nieznośnych stosunków, i woła, wobec faktu, że kroki, w tej sprawie dotąd przedsięwzięte przez Europę, pozostały bez rezultatu o zarządzenia, któreby zapowiadały lepszy skutek. Jużeśmy donieśli, że ces. i król. poselstwo w Cetynii z polecenia wspólnego rządu miało poczynić przedstawienia z powodu niebywałego rozszerzenia bombardowania Skutari. Dotyczące zapatrywania i życzenia monarchii w międzyczasie poselstwo to podało do wiadomości rządu króla Mikołaja. **Odpowiedź czarnogórskiego rządu nie może być uznana za zadowalającą.** Wprawdzie rząd ten zapewnił, że **zostały wydane** rozkazy, aby ostrzeliwanie w **przyszłości skierowywano** nie na miasto, ale na forty, co jednak dotyczy żądania swobodnego wyjścia ludności cywilnej, rząd czarnogórski, tak, jak dawniej, zachowuje się odmownie, wskazując na momenty militarne. Wobec charakteru nagłości, jaki ta kwestya ma z humanitarnych i innych względów, w sprawie wyjścia ludności cywilnej i zaprzestania ostrzeliwania Skutari **poczynione będą jak najszybciej nowe przedstawienia.**

„Druga kwestya dotyczy przedsięwziętej w okolicach Diakowy gwałtownej akcyi nawracania katolików i mahometan na wiarę prawosławną, jako też zamordowania franciszkanina Palicza, o czem pogłoski przynoszą najstraszniejsze szczegóły. Względy ludzkości i obowiązki mocarstwa opiekuńczego zmuszają monarchię napierać na to, aby te sprawy zupełnie wyjaśnić. Rząd czarnogórski dotychczas temu się sprzeciwiał. Wprawdzie przyznaje fakt zamordowania O. Palicza, ale twierdzi, że traktowano go jako buntownika i że go zastrzelono podczas ucieczki. Naszemu żądaniu o zbadanie tego wypadku przez jednego albańskiego księcia kościoła i jednego austro-węgierskiego funkcyonaryusza konsularnego, rząd czarnogórski odmówił, powołując się na przysługujące mu na tem terytoryum prawa zwierzchnicze. Ponieważ jednak te prawa zwierzchnicze dotychczas nie zostały uznane, argumentacyę, na nich opartą, **musi się absolutnie uznać za zupełnie niewytrzymującą krytyki.** C. i k. rząd będzie więc musiał **obstawać wśród wszelkich okoliczności przy zbadaniu tej sprawy na miejscu** przez arcybiskupa z Prizrentu i jednego funkcyonaryusza konsularnego.

Co do afery parowca „Skodra“, którego kapitan i załoga, jak wiadomo, w porcie San Giovanni

di Medua ulegli zgoła niedopuszczalnemu postępowaniu władz czarnogórskich, otrzymał nasz przedstawiciel polecenie poczynienia przedstawień i zwrócenia rządowi czarnogórskiemu uwagi na to, że **w razie powtórzenia się podobnych zajść** monarchia we własnym zakresie działania postara się o ochronę swojej żeglugi w obsadzonym przez Czarnogórców prowizorycznie porcie San Giovanni di Medua. Rząd czarnogórki na krok przedstawiciela naszego telegraficznie wydał rozkaz wdrożenia surowego śledztwa, a równocześnie wyjaśnił, że wszystko będzie czynił, aby w przyszłości ułatwić austro-węgierską żeglugę w San Giovanni di Medua. C. i k. **rząd będzie obstawał przy surowem ukaraniu winnych.**

Co dotyczy przytoczonych wyżej dwu kwestyi, to c. i k. rząd, zgodnie z życzeniem i nastrojem opinii publicznej, zamierzeniom, o których zawiadomił gabinet czarnogórski, **bezwarunkowo nada znaczenie.**"

A jednak — wszystko zależy od Rosyi.

(Tel. wł. „Gaz. Poniedz.")

Wiedeń, 24 marca.

Półurzędowa pogróżka dyplomacyi austryackiej pod adresem Czarnogóry, zamieszczona we wczorajszym „Fremdenblacie", ze względu na dotychczasowe doświadczenia nie sprawiła w tutejszych kołach politycznych większego wrażenia, tembardziej, że pojawiła się równocześnie z odwrotem hr. Berchtolda co do Diakowy. W tutejszych kołach politycznych panuje przekonanie, że o ile **Rosya cierpliwie przysłuchiwać się będzie groźbom papierowym, o tyle nie dopuści do jakiejkolwiek akcyi czynnej, a zakazowi takiemu Austrya się podda.**

Z takiemsamem lekceważeniem przyjęto zastrzeżenie półurzędowe, że Diakowa przydzielona zostanie do Serbii pod tym warunkiem, że Albańczycy będą mieli pod panowaniem serbskiem zapewnioną ochronę swego wyznania i narodowości. W zastrzeżeniu tem upatrują tutejsze koła polityczne ornament dla osłonięcia odwrotu hr. Berchtolda co do rzeczy samej, to jest co do odstąpienia Diakowy Serbii. O tem, aby hr. Berchtold, dotychczas tak lękliwy, zdobył się na energię, nikt już dziś przecie nie myśli.

Co sądzą w Petersburgu i Berlinie.

Berlin, 24 marca.

„Berl. Tagebl." donosi z Petersburga: Tak w ministerstwie spraw zagranicznych, jak w kołach politycznych petersburskich panuje zapatrywanie optymistyczne na zatarg Austryi z Czarnogórą. Zapatrywanie to stoi w sprzeczności z doniesieniami pism tutejszych z Paryża, gdzie panuje pogląd, iż zatarg austro-czarnogórski zagraża pokojowi europejskiemu.

W berlińskich kołach dyplomatycznych panuje przekonanie, że Austro-Węgry są uprawnione do demonstrancyi i że ta sprawa obchodzi tylko Austryę i Czarnogórę i nikogo więcej.

O wyjście ludności cywilnej ze Skutari.

Cetynia, 24 marca.

(Z czarn. źródła urzędowego.) Poseł włoski uczynił u rządu krok i równie jak Austro-Węgry, **zażądał, aby wstrzymano ostrzeliwanie Skutari, aż ludność cywilna opuści twierdzę.**

Cetynia, 24 marca.

Poseł rosyjski Giers zażądał wczoraj od ministra spraw zagranicznych, aby **ludności cywilnej dozwolono opuścić Skutari** i aby do tego czasu wstrzymano ostrzeliwanie twierdzy.

Widmo wojny Rosyi z Japonią i Chinami.

(Tel. wł. „Gaz. Poniedz.")

Petersburg, 24 marca.

Nadeszła tu wiadomość, że rząd japoński przedłożył w parlamencie **traktat z Chinami.** W traktacie tym **ma być zagwarantowana nienaruszalność teretoryum Chin** i podniesiona jedność rasy żółtej.

Następstwem tego traktatu ma być to, że Chiny zaprosiły oficerów japońskich, aby przeprowadziły na granicy mongolskiej ćwiczenia (?) wojsk chińskich.

Wrzenie w Konstantynopolu.

(Tel. wł. „Gaz. Poniedz.")

Petersburg. Pisma tutejsze donoszą z Konstantynopola, że w Stambule aresztowano 100 oficerów, którzy knowali przeciw rządowi. Podczas ostatniego selamliku miano aresztować kilkanaście osób, przebranych w mundury wo skowe, które zamierzały wykonać zamach maszyną piekielną na wielkiego wezyra.

Prosimy o odnowienie prenumeraty na kwartał drugi.

TELEGRAMY.

Petersburg. Przybył tu prezes sobrania Danew.

Petersburg. W. ks. Konstanty wyjechał jako zastępca cara na pogrzeb króla greckiego.

Echa zamachu na Tiszę.

Budapeszt. Zażalenie nieważności, wniesione przez prokuratora przeciw wyrokowi, uwalniającemu posła Kovacsa za zamach na Tiszę, zostało cofnięte. Temsamem wyrok stał się prawomocnym, Kovacs, od dnia wyroku bawiący na wolności, znajduje się w swoich dobrach i wycofuje się zupełnie z życia politycznego.

Ustąpienie hr. Thuna.

Praga. Organ Praszka „Pravo Zemkova" donosi, że jeżeli w najbliższych tygodniach nie nastąpi w stosunkach czesko-niemieckich stanowczy zwrot, namiestnik książe Thun poda się do dymisyi i nieodwołalnie ustąpi.

Hr. Witte ambasadorem?

Petersburg. Zaprzeczają tu pogłoskom, jakoby hr. Witte miał zostać ambasadorem w Paryżu. Wskazują na to, że Witte bawi tam obecnie dla porady lekarskiej.

Anglia się nie zbroi.

Londyn. Podsekretarz stanu w ministerstwie wojny Becker złożył w Izbie gmin oświadczenie, że obecnie ministerstwo nie myśli o zaprowadzeniu powszechnej służby wojskowej.

Król Konstanty w Salonice.

Salonika. Wczoraj po południu przybył tu na jachcie „Amfitryte" król Konstanty wraz z królową i Venizesolem. Stojące na kotwicy okręty dały strzały powitalne. Król przywitał się z królową wdową i braćmi, poczem udał się do miejsca, w którem znajdowały się zwłoki króla Jerzego. Przewiezienie zwłok nastąpi we czwartek, lub może już we środę.

Jeńcy z Janiny w Atenach.

Ateny. Essad pasza, wraz z członkami sztabu generalnego z Janiny i inni jeńcy przybyli do Piraeus. Ogromne tłumy ludzi urządziły Essadowi owacyę. Imieniem ministra wojny przyjął Essada pułkownik Kontojemis. Essad i inni więźniowie umieszczeni zostali w hotelu Mellas.

Na linii Czataldży.

Konstantynopol. Niemiecki pilot Scher, pozostający w służbie tureckiej, odbył w towarzystwie tureckiego oficera Kemala beja lot rekognoscyjny aż do Czorlu. Przy tej sposobności stwierdzili obaj ustawienie głównych sił bułgarskich. Lot trwał 4 godziny.

Strajk w Belgii.

Bruksela. Kongres socyalistów oświadczył się

Drugi koncert Paderewskiego.

Sala tłumem wytwornej publiczności wypełniona do ostatniego miejsca. nastrój równie uroczysty jak na pierwszym występie i wielki gorący aplauz powitał mistrza, wstępującego na estradę.

Parę potężnych akordów zdradzających lwi pazur, mała, kilkuaktowa modulacya... szmer cichnie na sali.

Rozpoczyna się misteryum. Mistrz gra...

Program rozpoczął Paderewski własnemi Waryacyami op. 23, odegranemi wspaniale. Dzieło niepospolite przesunęło się przed słuchaczami w niedoścignionej interpretacyi, wielki bowiem pianista-wirtuoz zagrał utwór wielkiego muzyka-kompozytora. Wszystko tedy, co składać się winno na niedościgniony wykon dzieła, skojarzyło się tu, by przedstawić je we właściwem świetle. Takich reprodukcyj, takich dzieł, przez takich wirtuozów, nie tak łatwo usłyszeć. Burza, a raczej huragan oklasków, jaki zerwał się po przebrzmieniu ostatniego akordu, był wymownym dowodem tego uznania i estymy, w jakiej utwór ten został przyjęty.

Z kolei przyszedł ze swą Sonatą Es-dur op. 27 Beethoven, którego Paderewski odczuwa w sposób, zdradzający w nim raczej muzyka, aniżeli wirtuoza. Sam tęgi muzyk i sam wytrawny kontrapunkcista, rozwija myśli genialnego twórcy i przeprowadza fakturę motywów jaknajściślej, jednak wybuchowy temperament unosi go w chwilach odnośnych, a fantazyi pełna natura, unosi go, nadając klasycznym formom genialnych utworów cechy odrębne, owiane przedziwnym urokiem świeżości i odmłodzenia.

Ta świeżość, to artystyczne wyzyskanie rubatów, pauz, bije przedewszystkiem z wykonu romantyków, a szczególniej Schuberta, którego „Erlkönig" w odtworzeniu Paderewskiego posiadał istotnie cechy grozy, opiewającej dzieje o napięciu wysoce dramatycznem. Natomiast „Loire de Vienne" tchnął tym wdziękiem, jakiegoby trudno doszukiwać się u innych pianistów współczesnych.

W drugiej części programu Chopin zajął kapitalne miejsce, ów Chopin, którego Paderewski gra z takiem umiłowaniem, bowiem uzupełnieniem cyklu utworów największego z kompozytorów Polski i dalszemi jego uzupełnieniami, były dalsze cykle utworów Chopina, hojnie dorzucone rozentuzyazmowanej rzeszy nad program, z iście magnacką hojnością. Znalazły się tedy w cyklu tym dwa polonezy (A-Dur i As-Dur), szereg Etud, Walce i Nokturny, zagrane z wyrazem, siłą, wdziękiem, niedającymi się opisać, ani ująć w formę sprawozdania.

I o dziwo! Ten sam Chopin, którego po tylekroć słyszeliśmy, tak nam bliski, tak drogi, stanął przed nami w jakiejś świeżej, nowej postaci... jakiś nowy... jakiś odświeżony... to uśmiechnięty, to smutny, to śpiewający dumy o wielkich chwilach minionej świetności... wspominający dzieje świetne rycerskiej wielkiej przeszłości... Chopin nowy!

Że enuncyacye tego na wskróś polskiego kompozytora są drogie polskiemu sercu Paderewskiego, tośmy poznali nie tylko z tego, co nam pokazał ten wielki mistrz, lecz raczej z tego, jak enuncyacye te pojmował i odtwarzał.

Dla młodszego i najmłodszego pokolenia twórców polskich ma Paderewski łaskawą estymę, a dowodem tego prześlicznie zagrana Pieśń miłości Stojowskiego, oraz zgrabna Etuda Szymanowskiego. Wartość kapitalnych utworów podniósł urok precezyi pełnej gry i jej artytyczne walory, oddające z całą plastyką szlachetne aspiracye twórcze. Zaiste, trzeba mieć taką dystynkcyę w odtwarzaniu, jaką ma Paderewski, by rzeczy same z siebie piękne, ukazać w świetle jeszcze ponętniejszego piękna.

Ostatnim punktem programu była Rapsodya Liszta...

Jeżeli Chopin drogi sercu Polaka, był wraz z Beethovenem, Schubertem, Brahmsen i Schumannem Paderewskiemu - muzykowi, to Liszt musiał być równie miłym sercu Paderewskiego - pianisty. Któryż-bo wirtuoz-pianista mógłby nie estymować Liszta, mógłby się obejść bez niego? Lecz nie był to Liszt tak często słyszany w odtworzeniu, a raczej odegraniu pianistowskiem dla samych pianistowskich efektów i popisów karkołomnych skoków. Liszt Paderewskiego odrzuca wszelką technikę dla techniki, szukając pierwiastków duchowych, pierwiastków muzycznych. Bez wahania powiem, iż skoro Liszt — jak niesie tradycya — umiał przykuwać i czarować tłumy, zniewalać je i olśniewać— musiał on sam poza szaloną techniką dawać walory trwalsze i głębsze. Musiał dawać samą żywą muzykę. Taką muzykę daje Paderewski, godny chyba następca tego największego wirtuoza...

Że na samem wyegzekwowaniu tego, co zawczasu obiecywał program, nie ograniczyło się, zbytecznem chyba byłoby dodawać. Rozentuzyazmowane tłumy słuchaczy — w gronie których widziało się co najwybornsze towarzystwo i sfery muzyczne i liczne obywatelskie koła — podniosły gorące applauzy, żądając naddatków. Hojnie sypał je mistrz, jakby — stając przed publicznością serca polski — pragnął wyspowiadać się cały przez melodye na wskróś polskie Chopina i dać folgę sercu stęsknionemu może, w szeregu iat sypaniem pereł swych uczuć pod stopy obce — do tajemnej rozmowy dusz, ze swoimi.

I chwile wielkiej rozkoszy muzycznej, zaczęte przy blasku polskiego słońca, ciepłymi promieniami zaglądającego ciekawie do sali Starego teatru, jakby także posłuchać chciało pieśni polskiego barda, skończyły się wówczas, kiedy mrok zaległ miasto i zimne fale jasności elektrycznej rozlały się po sali.

Chwil parę pięknych, podniosłych i trwałych w swej istocie przeżyliśmy dzięki mistrzowi wielkiemu.

Oby niebawem przeżyć je można na nowo.

Stanisław Bursa.

MŁODA WIOSNA.

Marya Český.

Modlitwa wiosenna.

Wołałam do Cię, niegdyś, duszy głębią,
byś mi mą czystość zachował gołębią,
oszczędził pożądań katuszy...
W proch się korzyłam, przed Twym majestatem,
chciałam żyć w Tobie, rozbrat wziełam z światem,
w klasztornej zamkłam się głuszy...

Jak druga Marya, kochałam Cię Panie!
a dzisiaj! dzisiaj, pierś podnosi łkanie,
tęsknota w duszy się budzi.
Rozumiem nagle ziemi całej głosy
i duszy unieść nie mogę w niebiosy,
sen jakiś szczęsny mnie łudzi.

Panie! mój Panie, tam, na świecie, wiosna
w poszumach wiatru leci wieść radosna
i nowe zwiastuje życie.
Sypią się pyły, w kwiecie stoją sady,
kochają nawet motyle, owady,
w swym krótkim jak mgnieniu bycie.

Nawet na naszym, na klasztornym murze,
zakwitły wonne, purpurowe róże,
i wabią motyle białe.
Nawet na smukłej, kościelnej wieżycy,
wróbel uścielił gniazdo dla wróblicy,
pisklęta widziałam małe.

Panie! mój Panie! piosenka słowika,
wieczorem marzeń świat cały odmyka
uczy pieszczoty, miłości.
Z mroku wychyla się ku mnie świetlana
postać człowieka i wzywa: „kochana,
spełń przeznaczenie ludzkości"...

Szczęście kobiety, matki mi się marzy,
żar pocałunków odczuwam na twarzy,
dziecięcych łapiąt pieszczotę.
Jakieś nieznane kołyszą mnie wonie,
krwi nawałnice rozsadzają skronie,
oczy wstają przecudne, złote!

O Panie! oddal ten kielich nektaru
od ust trawionych gorączką pożaru,
niechaj nie widzę, nie słyszę.
Ty, który słowem uciszałeś morze,
ucisz krwi fale wzburzone, mój Boże,
wróć duszy mej dawną ciszę!

Kraków, wrzesień 1912.

Stanisław Maykowski.

Z cyklu: **Zasypane źródło.**

Przyjdź!

Przyjdź, bo bez ciebie pusto w moim domu!
Ty nie wiesz, jak mi jest samemu źle.
Powiem ci, czegom nie mówił nikomu,
Jak jest bez ciebie pusto w moim domu.

Bądź dla mnie dobra! Nie patrz nigdy smutnie!
Do blasku tęsknię, bom urodzon w mgle.
Twój głos mi będzie za wesela lutnię,
Więc się uśmiechaj, nie patrz nigdy smutnie.

Stań na mym progu ściemniałym cichutka,
Gdy lampa żółto kwitnie, gdym jest sam!
Mnie już tak źle jest. Więc niech prędzej utka
Mój płaszcz książęcy twoja dłoń cichutka!

Me zmarłe serce, w srebro pajęczyny
Spowite, czeka. Zamki moje złam:
Przynieś me wszystkie niespełnione czyny
I serce, śpiące w srebrze pajęczyny.

W melodyach cichej, przedjesiennej słoty,
Do szarej szyby przytuliwszy skroń,
Czekam na ciebie — twej cichej pieszczoty
Spragniony, tonąc w szept jesiennej słoty.

Helena Pinińska.

A gdy umierać będę...

A gdy umierać będę, to daj mi Boże,
By to było w godzinie, kiedy ranek świta;
Kiedy złociste, młode wstają ze snu zorze,
I gdy srebrzyste żyto na polach zakwita.

Kiedy słowik, zmęczony całonocnym śpiewem,
Przymyka senne oczy, blaskami olśniony,
A wiatr budzi ożywczym, leciutkim powiewem,
Okrytych srebrną rosą drzew bujne korony.

Gdy pierś ziemi stęskniona, dyszy żądzą słońca
I wszystkie swoje ziarna napełnia sokami,
Dumą szczęścia rozbrzmiewa od końca do końca,
Jak purpurą królewską błyszczy promieniami.

Niech światło... morze światła zaleje świat cały,
Niech skrzy się, jak w brylantach, jak w ogniu płomieni,
Jak lekko umrzeć wtedy, gdy świat tak wspaniały,
I, niosąc w oczach słońce — do nieznanych cieni!

Wiktor Dzierżanowski.

Z III-ej seryi poezyi.

Przybyło dnia...

(na przesilenie dnia z nocą).

Przybyło dnia o jedną tylko chwilę,
O jeden błysk przelotny i sierocy,
A w sercu mem rozbłysło szczęścia tyle,
Jak gdyby tron już runął wiecznej nocy...

Jak gdyby świat, w słonecznych lśnień opyle,
Z ciemności pęt wyzwolił się przemocy,
Jak gdyby dzień na nocy siadł mogile,
Śląc strzały w krąg ze złotej słońca procy...

Przybyło dnia o jedną tylko chwilę,
O jeden błysk przelotny i sierocy,
A w sercu mem furknęły z tęcz motyle,
Wprzęgnięte w lot do złotej snów karocy,
I duszę w skrach, ujrzałem, ci nie gasną,
Bogatszą w skarb wierzenia w przyszłość jasną...

Zygmunt Różycki.

Spotkały się.

Spotkały się nasze spojrzenia,
Spotkały w przelocie tęskniące,
Zadrgały dwa serca płonące
I dwa pogłębiły milczenia.

I próżno nam urok tej chwili
Znamienny bieg życia zacienia, —
W tym jednym błysku spojrzenia
Myśmy swe szczęście przeżyli.

?

Dlaczego smutek ubielił me czoło,
I jasny wzrok kryję w drżące powieki,
Jakby dzień grozy miał być niedaleki,
Jakby świat cały miał spłonąć wokoło?

Dlaczego postać ma kirem okryta,
I myśl zastygła w marmurowem łonie,
Dlaczego w licach mych róża nie płonie,
Dlaczego rozpacz jest na nich wyryta?

Pytasz? — więc patrzaj — to jest twoje dzieło.
Zerwane kwiaty skarżą się żałośnie.
Nie dla nich marzyć o życiu i wiośnie.
Dla mnie i dla nich już wszystko minęło.

Więc leć nieszczęsny z nad cmentarnej niwy,
Leć w dal słoneczną—hen w nieznane światy,
A mnie łzy zostaw i żałobne szaty,
Zapomnij o mnie, leć i — bądź szczęśliwy!

MARYA CICHOCKA.

Serce.

. . . .

Wtedy rzucono mu nową nadzieję
Na nowych wrażeń czarodziejskich gamę,
Kaskady śmiechu, róż girlandy świeże,
By zapomniało, że było zdeptane...

Lecz serce wolało swoją krwawą ranę
I ból piekący i szło dumne, ciche
Przez pustkę życia w bólu nieskalane
Smętne, jak kwiatów cmentarnych kielichy.

JAROSŁAW VRCHLICKY.

ŚWIĘTO POKOJU.

Na wązkiej, stromej drodze, wśród gęsto osadzonych drzew orzechowych i buczyny, słońce tkało ze swoich promieni złote siateczki. Tą właśnie drogą, jakiś młody mężczyzna posuwał z trudnością wózek dziecinny, później w niejakim oddaleniu szła dziewczynka, od czasu do czasu podskakująca żywo, wkońcu zaś stąpała młoda kobieta. Ów młody człowiek był szczupły blondyn, o powierzchowności pospolitej. Na twarzy jego były wyryte zmęczenie i apatya. Ubranie nosił nowe, choć bez smaku. Wszystko to upoważnia do wniosku, że musiał to być urzędnik, który się wybrał ze swoją rodziną na spacer niedzielny.

Maleńkie dziecko w kołysce spało, przez firanki cienkie można było widzieć pulchniutką twarzyczkę, na której igrały promienie słoneczne. Dziewczynka, biegająca, była wesołym, pięknym dzieckiem; niezmęczona pędziła w rozmaite strony, podnosząc z ziemi kamyczki, to znów ślimaka. Twarzyczkę dziewczynki radość opromieniała, nie mogło jednak biedactwo podzielić się swoją uciechą — każde zwracanie się dziecka do matki nacechowane było pewną nieśmiałością.

Najciekawszą wśród nich postacią była owa młoda kobieta, o rysach pięknych i eleganckich ruchach. Policzki miała rozpłomienione, niewiadomo czy to długi spacer wywołał owe rumieńce, czy też powstały one skutkiem rozdrażnenia, które widocznie opanowało młodą kobietę.

Dość długo spacerowali w głębokiem milczeniu. Nieraz zdawało się, że owa młoda kobieta chciała coś wypowiedzieć, skończyło się jednak tylko na ironicznym i pogardliwym spojrzeniu, które błyskawicznie przebiegało po jej twarzy. To znów głową potrząsała, jakby chcąc przez to powiedzieć: „To się na nic nie zda, już przepadło" i znów głęboko w piasku zanurzała parasolkę, albo też gałęzie obrywała z drzew.

Gorąco się coraz bardziej powiększało, a końca drogi nie było widać. Młody człowiek cierpliwie posuwał coraz dalej wózek dziecinny. Na chwilę przystawał i wyjąwszy z kieszeni chustkę, ocierał rzęsiste krople potu, spadające na twarz.

— Otóż masz przyjemności takiej wycieczki w góry! — zawołała młoda kobieta, a w głosie jej brzmiały złość i ironia. — Widzisz, że upał jest niemożliwy.

Młody człowiek nic nie odpowiedział. Podobne zarzuty były dla niego chlebem powszednim.

— Żebyśmy przynajmniej tam na górze coś porządnego zjeść mogli! — odezwała się znowu cierpkim tonem. Chmura gniewu zasępiła jej czoło.

— Piwa napewno dostaniemy i jakieś chłodniki — odparł nieśmiało.

— No, zobaczymy, czy to piwo będzie na coś zdatne. Zresztą, ty przecież chciałeś odbyć ten spacer i stało się według twojego życzenia. Namęczyłeś się już porządnie, ale trudno, ja cię w domu już uprzedziłam, że nie dojdę do wózka i — słowa dotrzymam. Będziesz musiał i pieluszki sam zmieniać, bo mnie to już tam nic nie obchodzi. Masz to, czego pragnąłeś.

Mąż nie odpowiadał. Wiedział, iż takie milczenie jest srogą dla żony karą. Na pociski rozdrażnienia i zarzutów wystawiał swój pancerz obojętności. Wadę żony przypisywał wadliwemu wychowaniu, jakie otrzymała, no i — cierpliwie znosił swój los. Z biegiem czasu stał się przybitym, na twarzy jego malowały się zmęczenie i rezygnacya. Dzisiaj jednak czuł, że o ile wycieczka skończy się fatalnie, to będzie jego wina. Ale on z takim utęsknieniem oczekiwał niedzieli, i wszędzie wesołych szukał twarzy. Teraz zaś trawił go smutek i znużenie go ogarnęło z powodu posuwania wózka w górę.

— Irenko, czy to moja wina, że nie możemy pojechać gdzieś za granicę, np. do morskich kąpieli? — zapytał, a po wypowiedzeniu tych słów natychmiast żałował, że się zamało pohamował. Wiedział już, co teraz nastąpi.

Drobne usta pięknej kobiety zaczęły drgać nerwowo.

— Ten zarzut twój znam już oddawna — mówiła głosem urywanym — no tak, moje ubóstwo, nie powinieneś był ze mną się ożenić... mówię ci to otwarcie...

— Ależ ja tego wcale nie myślałem — zaczął ją mąż uspakajać — przecież wiesz, że słów tych używałem żartem tylko...

— A zatem, był to żart — niezgrabny. Ludzie delikatni w ten sposób nie żartują.

Nastała cisza.

— Spójrz no, moja droga — odezwał się znowu mąż — jak nasza Anielka się cieszy. Taka wycieczka, to święto dla dzieci. Jak nasza córuchna się rozwija i jaka w niej się budzi miłość dla

Prof. dr. K. W.

WŁODZIMIERZ SOŁOWIEW.

Zjawisko bezwzględnie jasne! Rosyanie czczą w nim jednego ze swoich największych filozofów, stawiają go oni ponad wszystkimi filozofami Europy zachodniej, wyznaczając mu miejsce obok Platona. Jest to jednak pomyłka. Filozofia Sołowiewa nie wydaje mi się w jej właściwem pojęciu tak głęboką, tworzy ona małą cząstkę jego ogólnej myślowej pracy, a ta otrzymuje swoje wysokie kulturalne znaczenie dopiero w połączeniu ze sposobem życia tego ze wszech miar oryginalnego i niezwykłego człowieka.

Sołowiew, zarówno w życiu jak i w swojej nauce ukazuje nam, czego rosyjska dusza pragnie, to jest, czegoby pragnęła, gdyby była wolną od wszelkich narodowościowych przeczuleń, gdyby wolną była od pragnienia zemsty wobec swych politycznych prześladowców, gdyby wolną była od wyrzutów sumienia wobec straszliwej nędzy biednego narodu i gdyby wreszcie mogła się uwolnić od żalu i wstrętu, jaki wycisnęła na niej pańszczyzna istniejąca jeszcze przed półwiekiem. Kto przez te wszystkie mgły chce ujrzeć Rosyę idealną, niech czyta Sołowiewa, a przekona się, że Rosya chce wiele dobrego dla siebie i dla świata kulturalnego. Chce ona, by sposób życia i poglądy światowe zlewały się w całość u ludzi i dlatego obecnie wywiera rodzaj duchowego przymusu, ponieważ nie uznaje istniejących związków życiowych, a historycznem doświadczeniem gardzi. Rosya pragnie, by człowiek był szczerym i otwartym wobec drugich — i następstwem tego jest obecnie jeszcze ten odpychający brak szacunku dla wszystkiegi, co innym jest drogie. Rosya nie chce uznać, że istnieją różnice spowodowane urodzeniem, fanatyczne pragnienie równości żyje w duszy Rosyanina, a ponieważ nie umie on jeszcze dobrze rozróżniać pomiędzy równością przed Bogiem a równością pośród ludzi, więc dochodzi do terroryzmu i wywłaszczenia, ponieważ chce stosować chrystyanizm do wszystkich stosunków ludzkich.

Sołowiew pragnie tego wszystkiego również i pragnie, by światopogląd zgadzał się we wszystkiem z życiem i daje przykład, że jest to możliwem nawet wtedy, gdy się swemu duchowi da wolność zupełną przemierzania przestrzeni wszechświata, że gdy się wchłonie w siebie poglądy ludów i narodów różnych epok na boskość i jej przykazania. Sołowiew pragnie również szczerości pomiędzy ludźmi i udowadnia, że można być szczerym wobec człowieka nawet wtedy, gdy się go rozumie głębiej aniżeli on sam siebie odczuwa i gdy się wobec niego zachowuje tak, jak wobec tego idealnego typu, jakimby mógł być, gdyby się nauczył sam siebie lepiej rozumieć. Sołowiew pragnie również, by chrystyanizm stosunki międzyludzkie regulował i przeprowadza możliwość tego nie tylko genialną budową myśli, ale jest również pierwszym z przywódców rosyjskiego ducha, który wskazał na to, że nawet w obecnych stosunkach wykształcony Rosyanin może i powinien żyć obyczajnie. Przyzwyczajenie szukania przyczyn wszystkiego złego w rządzie prowadzi Rosyę do zastoju kulturalnego, do przeceniania każdej dążności rewolucyjnej i do zamącenia pojęć moralności ogólnej. Sołowiew rozumiał to i cierpiał nad tem całe życie, głosił w nauce swojej to, co wypowiadał Dostojewski w obrazach i postaciach.

Sołowiew jest niejako tłumaczeniem Dostojewskiego na pojęcia rzeczywiste; można powiedzieć, że dzieła jego, to Dostojewski w prozie, jeżeli pod prozą nie rozumiemy trzeźwości. Sołowiew był sam bardzo utalentowanym poetą lirycznym i jego styl w prozie zachował obok przedziwnej wprost wyrazistości i polot poetyczny. Sołowiew jest przytem tak na wskróś oryginalnym jak i Dostojewski, obaj korzenią się w tym samym podłożu, w religijnej głębi duszy ludu rosyjskiego. Dostojewski wżył się w swój naród, przedstawiał mu się on w całej swej prostocie, nie oddzielał się od niego nigdy i dlatego nie mógł się uwolnić od kajdan duszy rosyjskiego narodu. Sołowiew natomiast czyta w niej jasno i w jednem miejscu pisze on: „Jeżeli wraz z Dostojewskim uważamy naród rosyjski za powołany, by w braterskim związku z innymi narodami dopomógł do urzeczywistnienia wszechludzkich ideałów, to nie możemy się nigdy zgodzić z atakami tegoż Dostojewskiego przeciw żydom i Polakom, Francuzom, Niemcom, przeciw całej Europie i przeciw wszelkim obcym wyznaniom“.

Dostojewski, niestety, nie przedostał się nigdy w zupełności poza mgły nienawiści religijnych i narodowych, Sołowiew zaś stał przez całe swoje życie zdala od wszelkiej nienawiści. Ucieleśniła się w nim Rosya przyszłości i dlatego stoi do dziś jeszcze w zupełnem odosobnieniu. Tołstoj naprzykład charakteryzuje obecną Rosyę — Rosyę instynktowną, opierającą się kulturze: Rosya, która wprawdzie porzuciła panslawistyczne zakusy opanowania ziemi, ale za to zdaje jej się, że ma monopol na niebo i czuje się uprawnioną przeczyć ziemi i wszystkiemu, co się na niej znajduje.

Chrystyanizm Tołstoja był źródłem wiecznej troski dla Sołowiewa, gdy się go pytano, dlaczego Tołstoja nie zwalcza, odpowiadał, że byłoby mu to nie miłe dlatego, że religijne pisma Tołstoja są zabronione w Rosyi, a zatem walka byłaby prowadzona nierówną bronią.

Wobec bliżkich przyjaciół mówił jednak nieraz, że nie chce Tołstojowi zarzucać nieszczerości, ale że zdaje mu się, że wszyscy są w prawie wymagać od niego zmniejszenia samowolnego pośpiechu w jego dowodach, a większego pogłębienia prawdy, do czego go zobowiązuje niemal jego stanowisko mistrza słowa. Dopiero, gdy Tołstoj w „Zmartwychwstaniu“ zaprzecza sakramentowi ostatniej wieczerzy nie „w spokojnej, do przedmiotu dostosowanej formie“, ale wprost „wyśmiewa i ironizuje“, wtedy dopiero Sołowiew wystąpił przeciw Tołstojowi. Sołowiew nigdy i nigdzie nie uniewinnia tej najniesympatyczniejszej ze wszystkich rosyjskich właściwości — braku szacunku, twierdzi jednak, że nie jest to wada przyrodzona rosyjskiego ducha, raczej następstwo połowicznego wykształcenia. Natomiast ironia jest głęboko zakorzeniona w naturze Rosyanina, nawet Sołowiew walczyć z nią musiał, tworząc z niej wesoły, nieszkodliwy dowcip. Gdy ochota ironizowania zanadto go męczyła — a oficyalna Rosya jest zawsze materyałem niewyczerpanym — pisał wtedy Sołowiew wiersze satyryczne, czytał któremuś z przyjaciół i pali. Sołowiew bowiem potrafił przy wielkiej mądrości być dobrym, co jak wiemy, Tołstojowi nie zawsze się udawało. Sołowiew patrzył w ludzi głębiej aniżeli Tołstoj, widział nie tylko ich śmieszności i szalone czyny, ale zaglądał tam, gdzie cała dusza znika, a naga, bezradna dusza wyciąga ramiona do miłości. Dlatego pozwalał się Sołowiew nieraz oszukiwać z całą wiedzą, gdy czuł, że to oszukującemu do zbawienia dopomoże. Jednej starej pijaczce, która nawet dobrze pisać nie umiała, przez szereg lat dawał swoje rękopisy do kopiowania i płacił dobrze, pomimo, że sam był biedny i z trudem zarabiał na swoje utrzymanie — a czynił to, bo wiedział, że płatna praca utrzymuje w człowieku szacunek dla własnego ja i ona jedna potrafi pijaka wstrzymać od zupełnego pogrążenia się w alkoholu.

II.

Dziwny czar płynie od osobistości tego wcześnie zmarłego filozofa. Wywierał on ten dziwny, mistyczny niejako wpływ na dzieci i zwierzęta, który zazwyczaj wywierają istoty pozbawione instynktu samolubstwa: gdy wchodził do pokoju, gołębie czekały już na niego na oknach, psy jego przyjaciół porzucały swoich panów i szły za nim, a gdy był gdzieś w gościnie, najleniwsze dzieci wykonywały wtedy swoje prace. Przyjaciele, u których częściej gościł Sołowiew, zauważyli, że w ich ulicach potęgował się napływ żebraków, był to objaw zupełnie naturalny, bo Sołowiew dawał ubogim zawsze wszystko, co miał przy sobie, nie tylko pieniądze, także pugilares, chustki do nosa, rękawiczki, kalosze i t. d. Gdy pewnego razu jeden z przyjaciół spotkał go w takim obrabowanym stanie, zauważył filozof z ponurym wyrazem twarzy: „Dobrze chociaż, że zegarka nie miałem przy sobie“. „Dlaczego? byłbyś go pan może także żebrakom oddał?“ „Nie, jest to podarunek mego zmarłego ojca, ale byłoby mi żal, że go dać nie mogłem.“ On, który zawsze znajdował się w kłopotach pieniężnych, dawał królewskie napiwki i gdy mu jego przyjaciele czynili z tego powodu wyrzuty, mówił — że jest to najłatwiejszy sposób sprawienia człowiekowi radości, a przytem bezpośredni środek zrównania socyalnego. Niedbałość Sołowiewa w rzeczach światowych doprowadzała nieraz do komicznych zdarzeń, potrafił n. p. chodzić tygodniami w fraku i brunatnych spodniach. Gdy potrzebował kapelusza, posyłał do sklepu posługacza z pieniądzmi i ze sznurkiem odpowiadającym obwodowi jego głowy i było mu obojętne, jaki kapelusz mu nadesłano. Był przytem bardzo pięknym człowiekiem o nadzwyczaj eleganckiej powierzchowności. W ostatnich latach

---

przyrody. Anielka zna już wszystkie kwiaty, jakie tu rosną, a nieraz wstydzę się wobec niej swojego nieuctwa. Jak to maleństwo już umie się zachwycać ładnym widokiem! Gdybyśmy mogli mieszkać na wsi, byłaby to rozkosz nielada, sköro to jednak jest niemożliwe, to pozwólmy dzieciom korzystać z tych dóbr, jakie są nam przystępne. Starajmy się przynajmniej korzystać z każdej niedzieli i święta.

— Ach, co tam się korzysta — przerwała młoda kobieta. — Człowiek tylko zmęczyć się musi z powodu gorąca i chodzenia, następnie kłóci się z właścicielem oberży za to, że marne nam daje jedzenie, a reszta dnia spędza się na nudnym siedzeniu wśród zarośli. Już przestań wychwalać te niedzielne wycieczki górskie..

Mąż uznał za najlepsze — milczeć. Lecz w niej wzrastające rozdrażnienie szukało ujścia i znowu mówić zaczęła:

— Nie myśl tylko, żeś dokonał nadzwyczajnego odkrycia, mówiąc mi o zamiłowaniu Anielki do przyrody. Jeśli tak jest istotnie, to — nieszczęściem dla nas będzie, bo — rozwijać swoje zdolności, iść za głosem powołania wolno tylko bogaczom. My biedacy usychamy z goryczy i tęsknoty. I cóż z tego, że odczuwam piękno i przyrodę? — Nawet na koncert wybrać się nie mogę. Biedak wówczas zyskuje dużo, gdy jest — ślepy i głuchy. Nie chcę, aby Anielkę spotkał ten sam los, co jej matkę — nie chcę, nie! — zawołała gwałtownie.

— Jakże szorstką i niesprawiedliwą jesteś, Irenko — wybuchnął mąż. — Przecież nie umieramy z głodu, a wkrótce za boską pomocą będzie nam lepiej. A pomyśl o tej gromadzie ludzi cierpiących jeszcze więcej odemnie. Wiem, że twoje cierpienia są uzasadnione, ale — ja temu nie jestem winien. Przecież ty chyba wiesz o tem, że ja przedewszystkiem dążę do zadowolenia ciebie. I moją bezgraniczną wielką cierpliwość też chyba widzisz. Nie wiem, może popełniliśmy błąd, pobierając się, lecz teraz — zmienić tego nie można. Nie chodzi wcale o mnie, lecz głównie — o dzieci, i względem nich też jesteś niesprawiedliwą. Wybacz mi, lecz musiałem ci to powiedzieć.

Irena przystanęła, cała jej postać drżała silnie, wkońcu wybuchnęła łkaniem i wśród płaczu mówiła:

— Gdyby się chłopcy nam urodzili, a nie dziewczynki, tobym...

Nie mogła dokończyć, a mąż zrozumiał jej skargę i współczuł z nią w głębi serca.

Po dłuższej pauzie odezwał się tonem uspokajającym:

— Są ludzie, co pragnęliby i dziewczynki mieć...

Dalszą drogę odbyli w milczeniu. Dostali się wreszcie na szczyt góry, gdzie była restauracya, w której jako tako można się posilić. Później nasyceni jeli szukać schronienia.

Niedaleko spostrzegli mały cmentarzyk, po jednej stronie był niewysoki mur, nad którym melancholijnie schylały się wierzby i krzaki ciemnego bzu. Pomiędzy krzakami mogił wyrastały skromne kwiaty, niektóre z nich słoneczne — kołysały swe złote główki, jakby były zmęczone i śpiące. Dokoła spoglądały na siebie: bratki, goździki, króliczki, lawenda oraz gorzki jasieniec. Silna, uderzająca woń szła od kwiatów. Marmurowe krzyże jaśniały w słońcu południowym, a zdawało się, iż są wilgotne od łez na nich osiadłych. W wysoko wyrosłej trawie ćwierkał świerszcz, a przez szpary wpół rozpadłego muru przemykała jaszczurka. Dokoła panowała cisza, owa świąteczna, uroczysta cisza.

Z początku spacerujący odczytywali napisy na grobach. Wnet ich zwabiło jedno z drzew, bardzo wysokie zdala stojące, od którego cienie gęste padały — tu można było znaleźć spokój i ukojenie! Młody człowiek postawił dziecinny wózek koło muru, sam zaś położywszy się na trawie, pogrążył się w marzeniach. Anielka ciekawie przyglądała się kwiatom, zrywając niektóre z nich. Irena stanęła przy małym, otwartym grobie, przy którym nic, prócz czarnego krzyża nie było.

Jedyny Bóg wie, jakie uczucia zaświtały w duszy owej niespokojnej, cierpiącej kobiety i głęboko nią wstrząsnęły. Zapatrzona w ów krzyż, drżała jak liść... Poczem rzuciwszy się na kolana, zdławionym głosem modliła się:

— Wielki Boże... gdyby moje dzieci... nasze dzieci... Wielki Boże. Ty tego nie dopuścisz... nie... nie...

Porwała wnet Anielkę i zaczęła ją ściskać i całować. Następnie trzymając ciągle rączkę dziecka w swojej, szła krokiem spokojnym i stanowczym ku swojemu mężowi, który jakby wpadł w odrętwienie. Irena cicho, łagodnie ujęła jego rękę, na którą polały się łzy, a usta jej po raz pierwszy w życiu wyszeptały z głębokim uczuciem ów niebiański wyraz: „przebaczenia“.

posiadał Sołowiew raz tylko porządne ubranie, a to dzięki niemieckiemu krawcowi, który znał jego dzieła i którego bolało, że tak niezwykły człowiek chodzi tak źle ubrany. Powierzchownie tworzył więc Sołowiew typ z artystycznej cyganeryi ale różnica była olbrzymia: prawdziwy bowiem członek cyganeryi artystycznej żyje zazwyczaj z pieniędzy drugich, wyróżnia się niedbałością w płaceniu długów i wogóle bezwzględnością wobec innych, Sołowiew natomiast spełniał wszystkie zobowiązania nadzwyczaj sumiennie, jego cała cyganerya miała właśnie za podstawę uwzględnianie potrzeb drugich do tego stopnia, że o swoich zapominał. Nieraz naprzykład pracował we futrze w nieopalonym pokoju, bo posługaczka zapomniała napalić w piecu, a on potem nie chciał jej przeszkadzać, albo w malutkim pokoiku na piątem piętrze petersburskiego hotelu przyjmował codziennie proszących, w nocy pracował, a już o 11 rano budzili go nowi interesanci, których zaraz przyjmował. Nie! Sołowiew nie należał do cyganeryi w dawnem znaczeniu, był on raczej „waryatem Bożym". Bo leżało bardzo wiele samowiedzy w tej cyganeryi, zupełnie otwarcie stronił Sołowiew od wszelkich „związków ziemskich", od wszystkiego, coby chwilowo nawet odwrócić go mogło od jego religijnego marzycielstwa. A przytem kierowała jego czynami i dążeniem do samoudoskonalenia, olbrzymia znajomość duszy. Świadomie stronił od dróg „niewolnictwa zwyczajowego" nawet w swojej askezie. Obawiał się „ascetyki mechanicznej" i dlatego przerywał czasem nastrój twórczy niewinną rozrywką. „Jak jasny meteor zjawiał się w kole przyjaciół, by potem znowu, na bardzo nieraz długi przeciąg czasu zniknąć". Słowem stworzył Sołowiew nowy typ ascety społecznego, człowieka, który dla swojej odpowiedzialności socyalnej wyrzeka się wszystkich wygód i radości życia.

Sołowiew pochodził z bardzo dobrej rodziny, jego ojciec był znanym historykiem, dziadek był duchownym, bardzo cenionym z powodu jego szczerej religijności. Sołowiew odebrał bardzo staranne i pełne rodzinnego ciepła wychowanie, ale i on przeszedł przez czas „tworzenia się inteligencyi". Miał piętnaście lat, gdy zapuścił długie włosy i wyrzucił za okno swoje obrazy świętych. Mając lat szesnaście — ukończył wtedy właśnie gimnazyum z odznaczeniem — wiedział już, że celem jego życia będzie obrona wiary i pogodzenie jej z wiedzą i filozofią. Sołowiewa studya uniwersyteckie były wspaniałe, obejmowały one działy: przyrodniczy, filozoficzny i teologiczny. W 21 roku życia wygłosił swoją akademicką mowę: „O czasie przełomowym filozofii zachodniej", wrażenie było olbrzymie. Spostrzeżono i rozgłoszono zaraz, że Rosyi przybył jeden więcej mąż genialny. Po krótkiej docenturze prywatnej w Moskwie, otrzymał Sołowiew docenturę przy uniwersytecie w Petersburgu, gdzie został również członkiem koła uczonych w ministeryum oświaty. Jego publiczne odczyty „O człowieku-Bogu" wywołały niezwykłe zainteresowanie, zdawało się, że nic nie stanie w drodze młodemu uczonemu do świetnej karyery. W tym czasie jednak zamordowano Aleksandra II, w kilka dni potem wygłosił Sołowiew odczyt o karze śmierci i żądał ułaskawienia dla mordercy cara. Mówił bez wszelkiej ludzkiej trwogi — „Teraz się okaże, czy car jest chrześcijaninem. Jeżeli nim jednak nie jest, to naród pójdzie za Chrystusem, nie za nim!"

Jakiś człowiek z publiczności podszedł do mowcy grożąc mu pięścią i wołając: „Ciebie powinni najpierw powiesić!" — rozentuzyazmowana publiczność wołała: „Prowadź nas ty, nasz proroku!" — tym jednak nie stał się Sołowiew. Wiedział co po tej mowie uczynić należy, następnego dnia zaraz podał zrzeczenie się docentury, jak również złożył swój stopień członka w kole uczonych. Od tego czasu żył Sołowiew tylko ze swojej pracy literackiej, w podróży, to u przyjaciół, którzy wprost wydzierali go sobie, to znów na piątem piętrze petersburskiego hotelu. Dopiero w ostatnich latach życia posiadał swoje własne mieszkanie.

Śmierć zaskoczyła go u przyjaciela. Sołowiew umarł w 47 roku życia (1900) z powodu cierpienia sercowego, które było następstwem ascetycznego sposobu życia i bezwzględnej ofiarności wobec wszystkich, którzy stanęli na drodze jego życia. Sołowiew umarł wśród przesmutnych przeczuć, w przededniu rewolucyi. Jego ostatnia modlitwa była poświęcona żydom, kochał ich zawsze i umierając życzył im tego najlepszego, czego im życzyć mógł: nawrócenia do Chrystyanizmu!

Sołowiew leży na cmentarzu klasztoru dziewiczego obok Moskwy, przy boku ojca swego, niedaleko od grobu Czechowa. Ile razy byłem na jego grobie, zastawałem go zawsze zasypanym kwiatami, nigdy opuszczonym. Były na nim kwiaty nawet wtedy, gdy w dniach rewolucyi roku 1905 było niebezpieczeństwem wprost nawiedzać cmentarz i wtedy gdy wystrzały armatnie zwycięzko powracających wojsk spływały w cisze samotnego cmentarza nad brzegiem Moskwy. Ani odmawiał za życia nigdy nikomu rady i pomocy, więc i po śmierci szli do niego bezradni, szli spragnieni prawdy i sprawiedliwości. A lampka na grobie Włodzimierza Sołowiewa była może niejednemu zbłąkanemu światłem przewodniem i może stanie się jeszcze całemu narodowi kierowniczką ku powołaniu światowo-historycznemu.

TYTUŁ.

— Kochany doktorze! — wita dyrektor teatru, młodego poetę, który z głębokim (odpowiednio do wysokości zaliczki, o którą chce prosić) ukłonem, wchodzi do biura. — Kochany doktorze, kazałem pana prosić do siebie w bardzo ważnej sprawie.. za dwanaście dni mamy premierę pańskiej sztuki, trzeba więc, byś ją pan wykończył...

— Przepraszam pana — woła zdziwiony poeta — sztuka jest przecież najzupełniej wykończoną, brakuje jej tylko drobnostki — tytułu.

— I pan to nazywa drobnostką? Drobnostka, jak się nazywa towar, który się w najbliższym tygodniu ma sprzedać? Co mi po pańskiej całej sztuce? Kiepską sztukę każdy mi napisze, mnie potrzeba tytułu... rozumiesz pan? — ty-tu-łu!

— No... — uśmiecha się poeta ściągając rękawiczki — zaraz temu poradzimy. Nazwijmy sztukę n. p. „Żołnierz graniczny".

— Zwaryował pan? — dyrektor rozpoczyna nerwową wędrówkę po pokoju — z góry każdy będzie wiedział, kto u nas będzie grał żołnierza granicznego, a potem kto się interesuje, co się na granicy dzieje; wiedząc wszystko naprzód, nie pójdą do teatru. Zaciekawienie publiczności trzeba umiejętnie podsycić, nawet giełdziarz powinien zapomnieć, czytając gazetę, o kursach i pytać: „Co to za sztuka?". Tytuł zupełnie niezrozumiały... muszę pójść i zobaczyć. Najlepszy przykład ma pan w „Końcu Sodomy".

— Pan wybaczy, tam właśnie każdy odrazu wie, że Sodoma zbliża się ku końcowi!

— Tak?... a czy rzeczywiście zbliża się Sodoma do końca? Czy wogóle w sztuce przychodzi

Sodoma? Malarz przychodzi, który w ostatnim akcie pali w piecu, pan by z pewnością nazwał tę sztukę „Palacz" i publiczność myślałaby, że to rzecz ludowa, na którą chodzi się po cenach popularnych. Sudermann rozumie się na interesie, tytuł nie ma u niego nic wspólnego ze sztuką, a przytem jest symboliczny. Pan wogóle zanadto sobie rzecz ułatwia, pisze pan „Żołnierz graniczny", by cała publiczność odrazu wiedziała, że to rzecz na tle wojskowem.

— Pardon! — przerywa poeta — sztuka nie jest osnuta na tle wojskowem. „Żołnierz graniczny" pomyślany jest w przenośni, jest to przyjaciel domu, stojący z nabitą bronią na granicy małżeństwa.

— A dajże mi pan pokój z erotyką w tytule, niech się ludzie rumienią w teatrze, ale nie już przy czytaniu tytułu na afiszu. Po prostu, każda na pół uczciwa kobieta żenowałaby się zamówić sobie bilet. Weźmy jako przykład przeciwny „Gretchen", każdy sobie wyobraża coś dziewiczo czystego, kupuje swojej siostrzenicy bilet i robi poświęcenie w przekonaniu, że będzie się straszliwie nudzić. Miłe rozczarowanie, idzie raz jeszcze — ale już bez siostrzenicy, albo z siostrzenicą drugiego, a gdy go ktoś pyta „jakżeż było?", mruczy „obrzydliwość". To jest, widzi pan, reklama, taki tytuł powinien pan nadać.

— Ma pan, zdaje się, słuszność, nie myślałem nad tem głębiej, trzeba się liczyć z psychologią publiki. A gdybyśmy nazwali „Czerwony Smoking"?

— Niemożliwe! Dwa „O" w tytule... pewny upadek. Widzi pan „Otello" też już nie robi kasy, chociaż jest to Szekspir. Cóż robić, musimy mieć klasyczne poniedziałki, chociażby z deficytem. Ale modnej sztuki, kochany panie, nie wystawiam z takim tytułem, absolutnie nie!

— Panie dyrektorze — irytuje się już poeta — to już jest doprawdy głupi przesąd teatralny odrzucać sztukę dlatego, że ma dwa „o" w tytule, weź pan „Zaczarowane Koło" Rydla.

— Drogi panie! — woła dyrektor — jak się pan może porównywać z Rydlem, człowiek starszy, a przytem uczynił tyle dla literatury.

— Czekaj pan... mam tytuł, jeżeli pan zgadnie, co jest podłożem tytułu, otrzyma pan sztukę bez honoraryum... nazwę moją komedyę „Wielki osieł".

— Wypraszam sobie wszelkie wycieczki przeciw referentowi teatralnemu, fakt, że przyjął pańską sztukę, nie uprawnia pana jeszcze do powątpiewania o jego zdolnościach wogóle. Człowiek ten ma udziały wysokie w mojej instytucyi i będzie tak długo wydawał sądy o sztukach, dopóki chciaż halerz z jego pieniędzy będzie w przedsiębiorstwie.

— Ależ ja nie miałem na myśli referenta teatralnego. „Wielki osieł" ma być symbolem... rozumię pod tem nasze „moralne ja", które zasadniczemu egoizmowi stawia specyalne przeszkody.

— Zagadki zachowaj pan dla galeryi! — wrzeszczy dyrektor, uderzając się z wściekłością po łysinie. — Chce pan mieć odczyty filozoficzne, to daj pan swoją sztukę „Eleuteryi". Chce się panu w moim teatrze, w którym pan żadnych udziałów niema, grać rolę Maurycego Maeterlincka. Pan mnie wogóle nie rozumie, tytuł musi być... podobny do dzikiego kota, rzucać się ludziom w oczy, łaskotać, drapać. Żona powinna grozić mężowi — podam o separacyę, jeżeli mnie na tę sztukę nie zaprowadzisz, urzędnik bankowy powinien zdefraudować, by kupić bilet. Taką siłę sugestywną powinien wywierać tytuł. Wie pan, co swego czasu powiedział Sardou? Do napisania sztuki potrzebuję ośmiu tygodni, do zatytułowania jej... roku! A przytem, we francuzkiem wszystko idzie łatwiej.

— Rozumiem... pan chce coś a la kino... Coś aktualnego, co poruszy każdego człowieka... mam coś pierwszorzędnego „Podły milioner".

— Z jakiego powodu pierwszorzędne? — pyta zdziwiony dyrektor, uderzając się w czoło. — Pominąwszy, że milioner nigdy nie jest podłym, to z jakiego względu nazywa pan rzecz aktualną?

— Pieniądz jest zawsze aktualnym — uśmiecha się poeta.

— Zdaje się, u pana, bo dopiero wczoraj podał pan o nową zaliczkę. Musi pan dać tytuł drażniący publiczność, jakąś bombę...

— Bombę?... Dam panu coś wspaniałego — przerywa żywo autor — każdy musi się rozśmiać, czytając tytuł, zdziwić i każdy kupi bilet. Nazwę komedyę pojedynczo „Bilety gratisowe wykluczone". I cóż pan na to?

— Idea jest dobrą — mówi dyrektor — ale niebezpieczną, gotowiby to wziąć na seryo, a przytem byłoby to prowokacyą płacącej publiki, słowem... nie idzie, kochany panie. Zresztą za 1½% od pańskiego honoraryum poddam panu tytuł „Będziecie się śmiać".

— Nie będę się śmiał, gdy mi pan ma zamiar obciąć należne honoraryum, a przytem tytuł się nie nadaje, jest... zarozumiały. Nazwijmy lepiej komedyę według jej myśli przewodniej „Ucieczka".

— Właśnie, żeby krytyka napisała: „Ucieczka" nie porwała wprawdzie publiczności, ale publika ją wykonała... i poco poddawać jeszcze złośliwe dowcipy krytyce?

— Więc dajmy n. p. początek przysłowia: „Kto pod kim dołki kopie — — —?

— Ażeby wszyscy dokończyli: „sam w nie wpada" — nie mogę ośmieszać mojej sceny, przytem tytuł jest za długi.

— Więc może „Tylko ona"?

— Za krótko.

— Albo „Mundus vult decipi"?

— Po francuzku — ludzie nie zrozumieją.

— No, jeżeli się wszystko nie nadaje, to dajmy dwa wywrócone wykrzykniki.

— Cenzura wykreśli.

— Panie dyrektorze, wieleż razy jeszcze mam zmieniać tytuł? Sardou miał czas, ja jednak jestem oprócz literata, urzędnikiem kolejowym. Najlepiej będzie, jeżeli pozostawimy tytuł, z którym sztukę złożyłem dyrekcyi „Znasz li ten kraj..."

— Naturalnie, żeby każdy pomyślał „Tak... Hiszpania" i nie poszedł. Panie, ja potrzebuję sztuki, którąby publiczność przyciągała... ka-so-wej... by galerye trzeszczały, rozumie pan...

W tej chwili, drzwi zostały otwarte i wpadł zaczerwieniony od wzruszenia, mały, okrągły sekretarz teatralny.

— Panie dyrektorze, zapowiedziany występ znanej naszej artystki w pańskiej sztuce, wywołał prawdziwy szturm o bilety — na najbliższe cztery przedstawienia teatr wysprzedany.

— Co?... wysprzedany? — krzyczy dyrektor.

— Z prowincyi nadchodzą zamówienia telegraficzne, telefon wciąż dzwoni.

— Nareszcie!... Wsadź pan sztukę do repertuaru na najbliższe dwa tygodnie, w niedzielę po południu i we święta, a we środę damy poranek artystyczny.

— Jaki tytuł ma sztuka? — pyta wzruszony sekretarz.

— Rzecz zupełnie obojętna... kto patrzy na tytuł, jeżeli sztuka ma powodzenie? Pan ma dar w wynajdywaniu utrapień... nazwij pan... „Znasz ty ten kraj bez biletów gratisowych", albo „Będziecie się śmiać z wykrzyknikami", albo „Czerwony smoking żołnierza granicznego", słowem, jak pan chce. Bo wierz mi pan, mój młody przyjacielu, ty-

tul nic nie ma do rzeczy, każdy jest wyborowym, gdy ponad nim znajdzie się wzmianka „dzisiaj wysprzedano“.

KRZYK ROZPACZY.

Szkic.

Napisałem romans — mistrzowskie dzieło naturalnie. Dlaczego? Mój Boże! dlaczegóż ryczy lew i całują się ludzie?

Wogóle nie widzę powodu, dlaczego nie miałbym i ja zaliczać się do „robiących literaturę“ Przecież koledzy moi z bogatych domów robią najpierw w spokoju swój doktorat, a potem zaczynają tworzyć, najpierw małe liryczne poezye, potem wyciągają gdzieś z kąta jakiegoś zapomnianego poetę Anglii lub Francyi, tłumacząc go, a wzruszony i zachwycony tatuś, każe drukować na japońskim lub szarpanym papierze. Książkę dedykuje się różnym wielkościom „uznanym“, a potem zbiera się pilnie wyjątki z powieści, idee do nowych nowel i jest się wkońcu także modnym powieściopisarzem.

Od tego czasu moje życie stało się celowem, odczułem bowiem święty obowiązek wzbogacenia mojego narodu tworami mego ducha. Ponieważ jednak nie znałem zupełnie stosunków literackich, postanowiłem więc zasięgnąć informacyi u dawnego kolegi gimnazyalnego, którego powieść ukazała się już w druku.

Najpierw przeczytałem ten jego... utwór.

W księgarni otrzymać nie mogłem jego książki, dopiero w jednej wypożyczalni dano mi egzemplarz.

Taka marnota! I to znalazło nakładcę!...

Kolega przyjął mnie bardzo uprzejmie, w miarę, jak chwaliłem jego książkę, stawał się coraz serdeczniejszym. A kiedy zacząłem wymyślać na krytyków, serdeczność przeszła w formy wprost roztkliwiające. Dwoma palcami przejechał po tylnym froncie swego czoła, bo tam tylko było owłosienie, skrzywił ironicznie swoją uduchowioną twarz i wygłosił:

— Wiesz?... w starożytności złe duchy najchętniej zamieszkiwały w wieprzach, sprowadzano mędrców, poetów i śpiewaków, by potęgą swoją wyzwalali je od siły nieczystej. No i widzisz dyabelską zemstę, wygnani z wieprzy, zamieszkali w krytykach i używają sobie na dziełach mędrców, poetów i pieśniarzy. W krytykach i wieprzach zamieszkiwała siła nieczysta najchętniej.

Zacząłem się śmiać i śmiałem się bez przerwy pół godziny. Śmiałem się tak, że dyrektor jakiegoś zagranicznego teatru, po trzech minutach takiego próbnego śmiechu, zaangażowałby mnie z pewnością na czas całego swojego dyrektorstwa, bym na parterze pobudzał do śmiechu.

Mój kolega stał się tak uprzejmym, że aż za wiele było tych objawów przyjaźni, ofiarował mi do przeczytania trzy rękopisy swoich, jeszcze nie drukowanych powieści — 5 kg. wagi miał każdy.

Na pytania co do mojego mistrzowskiego dzieła, poradził mi, bym kazał przepisać na maszynie pięć do ośmiu egzemplarzy i przesłał je firmom nakładowym z listem odpowiednim. On tak zawsze czynił, protekcye nie pomogą, dzieło musi mówić samo za siebie.

Jak niektórzy ludzie są niebotycznie zarozumiali! Moje dzieło, to naturalnie... zupełnie co innego.

Dowiedziałem się w sześć miesięcy później, że brat mojego kolegi był w tej firmie sekretarzem, której nakładem ukazała się jego praca.

Kupiłem maszynę do pisania, w 14 dniach moja żona nauczyła się biegle pisać i zaczęła tłuc moją powieść.

Jakiem błogosławieństwem jesteś, o literaturo! Radzę każdemu mężowi, który wiele jest w domu, by pisał powieści i powierzał je żonie do wypukania.

Od św. pamięci czasów mego kawalerstwa nie zaznałem takiego bajecznego spokoju, wskutek tego napisałem drugą powieść, drugie mistrzowskie dzieło.

Moja żona rozesłała manuskrypty firmom nakładowym i napisała listy, a potem zabrała się do wypukania mojego drugiego rękopisu, a ja w tym czasie... tworzyłem trzeci.

Zanim drugą powieść odesłałem nowej seryi nakładców, wyłowiłem starannie błędy drukarskie (w robieniu błędów jest moja żona wprost niedoścignioną). Posłałem je do „Bociana“, „Dyabła“, „Śmigusa“. Od tego czasu jest moja małżonka stałą współpracowniczką wszystkich polskich pism humorystycznych. Jej imię autorskie jest „Dyabeł autorski“, a ona jest przekonaną, że to tylko jej pseudonim.

Gdy ukończyłem trzecią część, zaczęły powracać rękopisy pierwszej, zazwyczaj z listem, że wzmiankowana firma, po dokładnem odczytaniu pracy, z żalem i t. d. Nie odstraszyło mnie to, wysłałem równocześnie 18 manuskryptów do 18 nakładców. W każdym egzemplarzu zlepiłem 15 stronic w różnych miejscach; czytając manuskrypt, musianoby naturalnie strony rozdzielić. Po siedmiu miesiącach miałem moją ośmnastkę w domu, 18 firm po „dokładnem przeczytaniu“ nie mogło korzystać i t. d. Miejsca zlepione nie były rozdzielone, to mnie pocieszyło, bo po rzeczywistem przeczytaniu mego dzieła rezultat taki byłby wprost... niepojętym! Moje książki miały swoje słabe strony, z pewnością, ale właściwie każda z nich była... wprost mistrzowskiem dziełem. W czasie, kiedy moja żona odpukała już dziesiątą powieść i święciła jubileusz tysiącznego błędu, jeden z tygodników powieściowych ogłosił konkurs.

Naturalnie wysłałem moje 10 powieści w nadziei, że dwie do trzech nagród uzyskam, naturalnie każdy egzemplarz wysłałem z innego urzędu pocztowego i pod innym pseudonimem. Równocześnie odesłałem 50 pakietów do 50 nakładców.

Tygodnik, nie tylko nie dał mi żadnej nagrody, ale... wprost nie do uwierzenia, nie zakupił nawet mojej pracy.

Obecnie piszę moją dwudziestą szóstą powieść, pozostaję w stałej korespondencyi z najpoważniejszemi firmami polskiemi, mam w biurze dwóch korespondentów. Dziennie nadchodzi najmniej pięć manuskryptów, które wysyłam dalej. Nie jest to drobnostką, prowadzić ewidencyę firm, by jednej i tej samej powieści nie przesłać dwa razy w jedno miejsce.

Moja żoneczka otrzymała wczoraj honoraryum za trzechtysiączny błąd, szkoda, że nie mogę żadnego zdradzić, ale są one duchową własnością dzienników, które je zakupiły.

Ciekawy tylko jestem, kiedy wreszcie któraś z moich książek ukaże się w druku, chociaż czy to wogóle konieczne? By być literatem wystarczy pisać, ażeby ten tylko miał prawo zwać się powieściopisarzem, którego czytają — jest pojęciem z gruntu fałszywem i ja w to absolutnie nie wierzę!

Herbert Stegemann.

Prawa natury w miłości.

Do najdziwniejszych sprzeczności, w historyi rozwoju ludzkiego ducha należy to, że studyujemy z zapałem prawa całego psychicznego tworzenia się, interesuje nas, w jaki sposób mózg przekazuje nam wrażenie zewnętrznego świata, ale nad zagadnieniem, w jaki sposób tworzą się u nas nasze najbardziej elementarne popędy, przechodzimy niemal bez głębszej uwagi.

Wiedza poświęcona ludzkim namiętnościom, wśród których miłość jest najsilniejsza, znajduje się dopiero w samych początkach, a przecież nie ma chyba dziedziny bardziej zaciekawiającej dla filozofa i uczonego. Spinoza wprawdzie usiłował nasze namiętności ująć w system matematyczny, a Schopenhauer i Nietzsche, przedsięwzięli w swoich psychologicznych związkach także zbadanie fenomenu zwanego miłością, ale w rzeczywistości miłość pozostała dziedziną zarezerwowaną dla sztuki i aż do najnowszych czasów żaden mąż głębokiej wiedzy nie zdecydował się na załatwienie się z tą kapryśną a dziwną boginią. Jest to tem dziwniejsze, że podkład tego bardzo skomplikowanego kompleksu uczuć jest natury ściśle fizyologicznej i nie potrzeba bardzo silnej umysłowości do tego, by po namyśle doszła do przekonania, że w miłości ma się do czynienia z wrażeniami i refleksami, podpadającemi zwykłym prawom fizyki i chemii. Prawda! nieznana potęga, tajemnicze X., które pozostaje nam jako męcząca reszta, po wyjaśnieniu nawet najzwyklejszego procesu, naturalnych przebiegów, jest w tym właśnie wypadku, specyalnie dużem, a to, co się da wyjaśnić stosunkowo bardzo niewielkiem, ale jest to już i tak wiele, bardzo wiele, o wiele więcej, niżeli dawne wieki przypuścić mogły. Trwożliwe duszyczki, które się obawiają, że im ziemna wiedza czar miłości zniszczy, mogą się uspokoić, nigdy nie powiedzie się wiedzy, woni i czaru tego pięknego a tak nietrwałego (zazwyczaj) kwiatu zbadać, jak również nie powiedzie się jej katastrofalnych wprost wstrząśnień ludzkiej duszy objąć prawami czysto mechanicznemi i fizycznemi. Tajemnica miłości da się zbadać tylko równocześnie z tajemnicą życia, a do tego czasu będzie się ta wielka tragi-komedya, w której dobrowolnie lub przymusowo gramy role czynne, rozwijać przed naszemi oczyma bez przeszkody.

Wśród badaczy zjawisk fizyologicznych miłości, staje na pierwszem miejscu dr. Magnus Hirschfeld, jemu przypada w udziale zasługa badania przypadających w tę dziedzinę zagadnień nie z psychiatryczną jednostronnością Krafft-Ebinga lub Molla, ale z obserwacyą bezstronną i głęboką prawdziwego badacza natury. Główną podstawą, na której opiera się życiowe dzieło Hirschfelda jest praseksualizm, chociaż naturalnie hypoteza ta nie jest mową, ponieważ znajdujemy ją już u Platona, Schopenhauera i kilku innych filozofów, to jednak musimy ją przyznać jako własność Hirschfeldowi, bo on pierwszy zbudował ją w naprawdę wspaniały sposób i podciągnął pod wyjaśnienie zjawisk psycho-seksualnych, które dotąd były zupełnie niezrozumianemi. W ten sposób wzniósł się Hirsrhfeld stanowczo ponad dużą ilość żyjących badaczy seksualizmu, których czynność była przeważnie oparta na raz przyjętych podstawach, podczas gdy Hirschfeld tę gałąź wiedzy z nowych punktów widzenia przedstawił i nowym zrozumieniem wzbogacił.

W przeciwieństwie do swoich pism wcześniejszych, które nosiły charakter wiedzy popularnej, najnowsze dzieło Hirschfelda „Prawa natury w miłości" (Berlin, nakład Alfreda Pulwermachera) jest pracą ścisłej i głębokiej wiedzy. Czem dla Kanta kategorye, tem są dla Hirschfelda trzy tak zwane okresy, na które podzielił rozgrywające się w człowieku przejawy miłosne. Podzielenie to staje się niejako tłem całej książki i rzeczywiście dla zbadania ludzkich fenomenów okazuje się bardzo korzystnem.

Hirschfeld rozróżnia: pierwsze — podrażnienie seksualne, czyli w r a ż e n i e m i ł o s n e; drugie — naprężenie, czyli p o p ę d m i ł o s n y; trzecie — rozwiązanie, czyli w y r a ż e n i e m i ł o ś c i, lub innemi słowy: o d c z u c i e, z r o z u m i e n i e i z a s t o s o w a n i e m i ł o ś c i.

Rzeczowo biorąc sprawę, jest ten podział nie tylko możliwym, ale przez ugrupowanie zawiłych przejawów, przeznaczonych do badania fenomenów, staje się niemal koniecznym. Jest on w każdym razie logiczniejszym i głębszym, aniżeli znanie różniczkowanie Molla pomiędzy popędem konkretnym a detumensyjnym, co w rezultacie przypomina mądrość uliczników: „Dlaczego wróbel skacze po ulicy," — „Bo chce na drugą stronę", lub Molierowską v i r t u s d o r m i t i w a, która w wiedzy odgrywa wcale nie podrzędną rolę.

Tryptyk, w jakim nam Hirszfeld miłość ludzką przedstawia, jest bardzo skomplikowanym i dla tego ograniczamy się do niektórych tylko wyjaśnień. Pierwszorzędną rolę w miłości odgrywają naturalnie zmysły... bo miłość jest i była zmysłową. Nie jest to nic nowego z pewnością, ale zasługuje wobec tysiącznych idealistycznych i ascetycznych zamgleń na coraz to nowe podkreślanie.

Bramy, przez które miłość wchodzi, znajdują się w całym organizmie ludzkim, wszędzie mogą powstać podrażnienia seksualne, które, przesłane centralnemu systemowi nerwowemu, wywołują w nim naprężenie i dążność do wyzwolenia się.

Gdzie leży granica pomiędzy przyjemnemi i miłemi wrażeniami zmysłowemi a wyłącznem podrażnieniem seksualnem, tego, jak to i Hirschfeld potwierdza, nie wiemy dotąd. Pomiędzy wrażeniami zmysłowemi rozróżnia Hirschfeld dalekie, pośrednie i blizkie. Do wrażeń oddalonych należą: wzrokowe i słuchowe, do blizkich: smakowe i czuciowe, do pośrednich: powonieniowe. Wrażenia dalekie, są to właściwie wdzięki wabiące, inne zaś tworzą wrażenia potęgujące. Znaczenie przyciągające, któregoś organu zmysłowego, zależy najzupełniej od oddalenia, w jakiem się objekt drażniący znajduje. Najciekawszy wynik, z wielkiem wczuciem się przeprowadzonego badania, wyda się laikowi co najmniej dziwnym, mianowicie Hirschfeld twierdzi, że wrażenie miłosne nie pochodzi od całej osobowości danej istoty, ale, że zawsze niemal są to wrażenia poszczególne, które oddziaływując na któryś nasz zmysł, wywołują sympatyę, a są one pojedynczą częścią wielu właściwości pociągającej nas osoby. Dźwięczy to wprost niemożliwie, ale każdy, zastanowiwszy się nad tem, przekona się o słuszności tej hypotezy. Hirschfeld dla nazwania tego fenomenu naukowo proponuje zamiast używanego dotąd „feszytyzmu" nazwę „przyciągania częściowego" lub „portializmu". W jej najprymitywniejszej formie, miłość jest refleksem, tropizmem w znaczeniu Loebsa, to znaczy kieruje nią prawo poruszeń, które żyjąca istota za podrażnieniem pochodzącem z zewnątrz, wykonuje... u człowieka — zdanie to trzeba dokładnie zrozumieć — przyłącza się do refleksów — r e f l e k s y a i rozwija się nadzwyczaj interesująca walka pomiędzy refleksami mechanicznymi a mechanizmem wstrzymującym. Tu znajdujemy się niejako w centrum uczucia miłosnego, w m ó z g u, gdzie zbiegają się wszystkie stosujące się do erotyki przewodniki. Oprócz podrażnień seksualnych i należących do nich wrażeń ze-

wnętrznych zbiegają się tam czynniki wstrzymujące, które wychodząc z powierzchni mózgu, w tych samych punktach się skupiają co i refleksy mechaniczne i wytwarzają rodzaj regulatorów. Wywołane wrażenie, które jak widzimy jest produktem różnych czynników, przemienia się tam na drogi czynu i popędu i tym sposobem powstaje dopiero właściwy popęd seksualny.

Jasnem jest, że punkt ciężkości w tem pytaniu tkwi w rozgrywających się w mózgu przejściach. Możemy śledzić prądy seksualne, idące z zewnątrz na wewnątrz, jak również do pewnego stopnia w stosunku odwrotnym, jednak właściwy problem leżący pomiędzy seksualnem odczuciem, a wyrażeniem, spoczywa w głębinach nieznanego. Możemy śledzić drogi motoryczne w mózgu aż do dosyć daleko posuniętego punktu końcowego, ale miejsca, gdzie następuje przełączenie przewodników zewnętrznych na wewnątrz i odwrotnie, oznaczyć dokładnie nie możemy. Dochodzimy jednak do przekonania, które niejako przedystełowujemy z tych zawiłych i ciemnych fenomenów, że różność kierunków popędów seksualnych polega na różności odpowiadających centrów mózgowych i dlatego... przynajmniej w wielu wypadkach, nie są one tworem indywidualnej woli, czy nastroju, ale częścią wielkiego, odwiecznego prawa, przez którego koło przechodzi nasze życie.

Wszelkie badania, jakie wiedza poświęci zagadnieniom miłosnym, natrafią — oprócz właśnie wymienionych trudności zlokalizowania właściwego centrum miłosnego — na jeden jeszcze punkt martwy, mianowicie na związek cielesnego z duchowem w miłości. I Hirschfeldowi nie udało się trudności pokonać — jego zdaniem — że wszystko jest przesłanką wrażeń cielesnych, nie tworzy rozwiązania, raczej tylko przesunięcie problemu.

Pytanie to wkracza już z ciaśniejszego koła wiedzy seksualnej w dziedzinę filozofii, w najszerszem tego słowa znaczeniu. Stosunek ciała i ducha tworzył oddawna punkt rozpraw pomiędzy filozofami, a stopniowania pomiędzy krytycyzmem Kanta, absolutnym idealizmem Hegla, uniwersalnym parallelizmem Spinozy i Fechnera, były wypełnione wielokrotnie i przez wielu. Wobec olbrzymich zagadnień wszechświata, którego właściwą siłą obrotową jest erotyka w tej lub innej formie, nasz intelekt pozostanie na zawsze bezsilnym, a z istoty tego wielkiego demona, któremu już Sokrates cześć oddawał, nie uchwycimy, zdaje się, więcej nad kraj jego szaty letniej. Ale właśnie sławą naszego rodzaju jest ta chęć lotu coraz dalej i dalej, pomimo napotykanych trudności i to, że naszej woli intelektualnej najwyższa gwiazda nie wydaje się nieosiągnioną.

Dramat filmowy.

W Berlinie nastąpił układ pomiędzy stowarzyszeniem niemieckich powieściopisarzy i dramaturgów a centralą filmów kinematograficznych, na podstawie którego pozwolono członkom stowarzyszenia, ich dzieła odstępować kinematografom (co dotychczas było surowo wzbronionem), albo układać dzieła dla filmów. Więc poeci i pisarze tamtejsi nie będą teraz tworzyć, wyraz w zastosowaniu do kinematografów się nie nadaje, ale „filmować“. I za kilka dni będzie świat podziwiał pierwszy film Gerarda Haptmanna.

Pisma niemieckie piszą o pobitej kulturze, tryumfie pieniędzy nad pomysłowością, oburzają się, czy słusznie? czy raczej to postanowienie dramaturgów niemieckich nie jest godnem pochwały?

Kino-teatr obecnie ma wiele wad, błędów, brutalizmów, ale też ci, którzy układali dlań filmy, nie mieli poczucia artystycznego, płaskie historyjki, marne dramaty przemawiały do ludu i psuły go, gdy jednak z tą samą siłą przemówi do nich poezya prawdziwa, dramat stworzony geniuszem człowieka, baśń z całą legendową wizyą cudów, to wpływ kinematografów może w tym samym stopniu podnosić kulturę duchową ludu, w jakim ją dotąd obniżał, nie mówiąc już o wartości zdjęć z natury, o filmach dających lekcye poglądowe na życie ludów, uchylających tajemnice wiedzy znane tylko badaczom, śledzącym za pomocą mikroskopu.

Do człowieka z ludu przemawia Kino, bo daje mu obraz szybki, nie nużący, narzuca potrzebę zrozumienia rzeczy przedstawionej. Gdybyśmy mu dali książkę, któregoś z naszych duchowo wielkich, do przeczytania, nie odczułby potęgi słowa, znużyłoby go może po całodziennej pracy, to samo dzieło (pozbawione niestety słów), przedstawione w Kinie, zajmie go, pobudzi do myślenia, nierzadko wzbudzi część obrazowa chęć zapoznania się z częścią słowną i ten, który nigdy nie byłby poznał na przykład „Trylogii“ Sienkiewicza“, zaznajomi się z nią — w kinie, postacie przybiorą dla niego coś realnego, żywego, zainteresują go, przemówią do niego mimiką bezsłowną, zachęcą do poznania się z niemi bliżej — i człowiek ten będzie się starał przeczytać „Trylogię“, a część obrazowa dopomoże mu do zrozumienia części słownej.

Wogóle, gdy dla filmów zaczną pracować ludzie kochający sztukę i rozumiejący, że film stworzy pomiędzy poetą i narodem ten pomost, którego dotychczas brakowało, to wtedy zatraci kinematograf nie tylko swoje obecne błędy, ale stanie się ogromnie silnym czynnikiem wychowawczym.

Naturalnie to przyszłość daleka jeszcze, gdy zamast poglądowych lekcyi dla złodziei lub marnych komedyjek o niemożliwej treści — będziemy oglądać ballady Mickiewicza, świat naszych baśni, cuda naszych poezyi, chociaż i teraz już pomiędzy niektórymi numerami programu znajdują się rzeczy naprawdę dobre, wskazujące niejako na to, czem kinematograf mógłby być w przyszłości i jaką rolę mógłby odegrać, gdyby zarząd nie spoczywał w rękach przedsiębiorców, ale ludzi odczuwających i kochających sztukę i lud i rozumiejących, jaką wartość może mieć ta czysto obrazowa sztuka, ale i jaki zgubny wpływ wywrzeć może.

Więc nie trzeba wołać „śmierć kinematografom“! — bo to znaczy nie doceniać ich korzyści możliwych, ale raczej wołać trzeba o ich z r e f o r m o w a n i e.

Kto zna duszę ludu, ten wie, jak silnie do niego przemawia strona obrazowa, przy wjazdach przy przemarszach wojsk tłoczą się zawsze tłumy, nie przywodzi ich ani poczucie patryotyzmu, ani zrozumienie chwili i chęć wzięcia w niej udziału — sprowadza ich część obrazowa, lubią gapić się i nieraz ta część obrazowa działa na psychologię tłumu tak silnie, że dają się jej porwać. Historya notuje potem takie dziwne objawy, jak okrzyki Wiedeńczyków "Hoch" przy wjeździe Napoleona I, nie witali oni tym okrzykiem z pewnością wrogiego cesarza, ale po prostu strona obrazowa wjazdu przemówiła do nich tak silnie, że wyrazili jej swoje uznanie mimowolnie.

W kino-teatrach widzimy również oddziaływanie tej strony obrazowej na psychologię tłumu, w miejscach tragicznych słyszy się mimowiedne wykrzykniki ilustrujące fakt: „O Boże umarł“, lub coś w tym guście. Film może oddziaływać bardzo silnie i bardzo dodatnio, o ile jego treść jest dodatnią.

Dla teatru kino nie przedstawia niebezpieczeństwa, człowiek posiadający kulturę duchową pogłębioną, nie wyrzeknie się treści dla formy, bo dopiero w połączeniu dają mu zadowolenie jego wymagań i z pewnością nie pójdziemy patrzeć na dzieła Wyspiańskiego do kiniteatru, gdy nam je daje scena. Ale dla wielu forma stanie się niejako przygotowaniem duchowem dla zrozumienia treści, wielu bowiem jak Tomasz musi ujrzeć, by uwierzyć i pojąć, a szerokie warstwy ludu po prostu do zrozumienia potrzebują przygotowania obrazowego.

Pod adresem naszych obecnych kino-teatrów trzeba przesłać jedną uwagę — na polskiej ziemi objaśnienia (nie tylko tytuły) powinny być dawane w. polskim języku, od życzenia tego odstępuję jednak chętnie, gdy film daje poglądowe lekcye niemoralności lub występku, wtedy nawet korzystniej jest gdy objaśnienie jest w języku niemieckim, utrudnia bowiem publiczności polskiej zrozumienie i — nie wpływa tak demoralizująco.

Z literatury.

Piotr Choynowski. „Historya Naiwna“, wydawnictwo spółki nakładowej „Książka“.

W szkicach pana Choynowskiego, oprócz pogłębienia psychologicznego odtwarzanych postaci, jest jakiś przemiły młodzieńczy rozmach. Szczery, jasny odbłysk humoru rozjaśniający tło szarego, codziennego życia, pochwycił autor i rozwinął z prawdziwymt alentem, przypominającym świetne pióro Bolesława Prusa. W „Sumieniu“ przedstawia nam autor walkę człowieka nawskróś uczciwego, z pokusą przywłaszczenia cudzego dobra. Syn zagrożony suchotami, wyjechać mu potrzeba, a tu nagle wygrana spada na las zakupiony na zlecenie lekkoducha pisarza, który tak p. Rydzewskiemu wierzył, że nawet o numer nie zapytał. I w tym starcu, całe życie uczciwym powstaje myśl, by losy zamienić, ten który wygrał pozostawić sobie. I czyni to. Ale sumienie spokoju nie daje. Wysłał syna na południe, gdy list przyszedł i syn dziękuje mu za „te ciężko zapracowane pieniądze“ i całuje te „drogie“ zawsze dla „innych spracowane ręce“, to starzec już dłużej przywłaszczonych pieniędzy zatrzymywać nie chce, nie może. I to przyznanie się do winy, te starcze łzy, ten ból człowieka uczciwego przedstawił autor z taką prawdą życiową, że i my wraz z Kątskim czujemy głębokie zruszenie i nie dziwimy mu się, że się podzielić chce wygraną.

W „Historyi naiwnej“ porusza autor temat ciekawy... o uwiedzeniu kobiety istnieją całe biblioteki w literaturze, ale uwiedzenie mężczyzny jest niejako nowością, a to właśnie opisuje nam swojem barwnem piórem p. Choynowski. Kolski, kochający, niewinny, dający całego siebie w miłowaniu, uwodzicielce... kobiecie szukającej zmysłowego szału, pragnącej „chłoptasia“ dla jego oczu, ust i rzucającej go, gdy się jej znudził, jest w każdym razie ciekawą sylwetką. I może zginąłby biedaczysko, jak się to już niejednej uwiedzionej zdarzyło, gdyby nie Erna, która go kocha, otacza opieką i w chwili najcięższego bolu posyła zakochanego w sobie Świtę, by go pocieszył i w jej przebaczające i tęskniące ramiona przyprowadził. O stulecie wcześniej nowelka taka miałaby w sobie coś silnie nieprawdopodobnego, obecnie, zdaje się i takie rzeczy się dzieją, bo zajmująco napisana nowela p. Choynowskiego robi wrażenie prawdy, może dzięki talentowi autora, a może dlatego, że żyjemy w stuleciu „kobiety“. W każdym razie rzecz interesująca i nadzwyczaj wesoło i silnie napisana.

W obrazkach, jak „Zwada“, „Lekcya życia“, tętni świeżość studenckiego życia, chociaż i im ostatniej szczególnie nie brak głębszego podkładu.

„W poszukiwaniach światopoglądu“ i „Mańka“ — są to dwa szkice miłe, zajmujące, ale pozbawione głębszej wartości. M. C.

Ofiary, dramat w 3 aktach z roku 1863. Napisał Wincenty Korolewicz. Nakładem „Prawdy“ w Krakowie.

Rzecz na pozór pros a, a jednak tak wstrząsająca treścią swą krwawą, a tak zarazem nadzwyczaj smutna — to historya dwu serc i dzieje polskiego dwora, gontem krytego, skąd wyruszają młodzi bohaterzy w bój z olbrzymem przemocy, wyruszają opromienieni poświęceniem i uświęceni ofiarą. Niewiele takich dzieł możnaby policzyć w skarbach literatury i poezyi ojczystej, lubo wiele, za wiele ich mamy w tajnikach najserdeczniejszych i rozpacznych spomnień u tych posiwiałych i drżących starców wpatrzonych niezatartą pamięcią w te purpurowe od krwi i łuny dale — straszne krzywdami matek i żon i sierot płaczem, okrutne od wycia i mordu zbydlęconego żołdactwa.

Bolesne to dzieje, zbyt bolesne, by je nie kreślić piórem w krwi umaczanem, by je nie spomnieć słowem głośnego przekleństwa spadającego legionem gromów na samolubną postać Majestatu Zbrodni. Pięknym jest dramat W. Korolewicza, straszny swą treścią, choćby się zdawało sielankową. Ale to wskutek wiersza, co może razić początkowo — ale co wiele nadaje całemu utworowi z ówczesnej epoki, a dzieło czyni stylowem. Obecnie w roku rocznicy powstania godziłoby się, by któren z teatrów polskich w Galicyi wystawił „Ofiary“, ale trzeba zwrócić uwagę, że rzecz sama wymaga stylu tak w reżyseryi jako też i dekoracyi. f.

REDAKCYA OTRZYMAŁA:

Piotr Choynowski: Historya naiwna. Nowele. Spółka nakładowa „Książka“. Kraków.

Dr Feliks Koneczny: Słowianoznawstwo a Słowianofilstwo. Kraków.

Emma Jeleńska. Trzy pokolenia. Powieść. Nakład Gebethnera i Wolfa. Warszawa-Kraków.

Bolesław Limanowski: Historya ruchu rewolucyjnego w Polsce w 1846 roku. Sp. nakł. „Książka“. Kraków.

Jan Łada: Lucifer i inne nowele. Nakł. Gebethnera i Wolfa. Kraków.

Wacław Sieroszewski: Zacisze. Powieść. Sp. nakł. „Książka“. Kraków.

NADESŁANE.

DZIAŁ KOBIECY

POŻEGNANIE.

A kiedy będziesz już daleko —
za siódmą górą — za siódmą rzeką —
wspomnij — że żyje tu ktoś taki —
co Cię w bezdrożne ściga szlaki —
i który łzy ma pod powieką...

A kiedy będziesz w mężczyzn gronie —
gdy ci całować będą dłonie —
pomyśl, że żyje jeszcze stara
w twego kochanka sercu wiara
i miłość w jego bije łonie...

A jeśli będziesz kiedy śniła —
niech sen Cię moją łzą nie poi —
bo dusza ma się w szczęście stroi —
żeś kiedyś moją — moją była...

Bol. Karpiński.

Marya Český.

Oszczędność.

— Moja droga, musimy nasze wydatki nieco ograniczyć — zapowiada pierwszego mąż żonie — czasy ciężkie, oszczędzać trzeba.

— Ale ja przecież tak oszczędnie prowadzę dom — tłumaczy się pani.

— A jednak wydajemy za dużo, bo rozchody nasze dorównują dochodom, a nawet przenoszą je czasem. A na jakiś wypadek, na egzamina dzieci, na wyprawę, odłożyć trudno.

— Nie ja stworzyłam drożyznę — myśli pani, głośno jednak dorzuca: Ha, no... to będziemy oszczędzać!

Ale jak? Długo w noc układa pani plany oszczędności i rano o połowę mniej kawy daje do maszynki. Cała rodzina konstatuje w czasie śniadania, że się mamie kawa dziwnie nie udała. Pani zaś sama wprost pić jej nie może, a pan? Pan poprawia smak w kawiarni, czego zazwyczaj nie czyni.

Na drugi dzień w południe, po zupie zjawia się na stole jarzyna, pani z uśmiechem podsuwa panu półmisek „pewna, że uśmiech wzajemny zobaczy“ — on jadł, „ku ziemi opuściwszy czoło i tylko ku niej wzrok podniósł rozpaczy“.

— Jarzyna?!

— Kochanie moje, pomyślałam sobie, że można dawać cztery razy w tygodniu mięso, a trzy razy jarzyny, bo tym sposobem wiele zaoszczędzić można.

— Oszczędność wcale nie na miejscu, na kuchni, proszę cię, nie rób oszczędności. Dzieci rosną, potrzeba im silnego odżywienia, a i ja po pracy muszę go mieć również. Wy kobiety zawsze zaczynacie oszczędność na najniewłaściwszem polu. Pomyśl tylko, tło wszelkich chorób stanowi brak odpowiedniego odżywienia w epoce rozwoju. Organizm nie odżywiany odpowiednio staje się tą podatną glebą, na której rozwijają się wszelkiego rodzaju bakcyle. Pozwól więc — i w dłuższej przemowie fachowej pan i mąż rozwija przed przerażonemi oczyma pani te wszystkie choroby, które mogłyby zagnieździć się w organizmach jej dzieci z powodu „fałszywej oszczędności“ — tuberkuloza, anemia, zanik hemoglobin i t. d., wszystkie te zmory ludzkości przesuwają się barwnie i dosadnie pomiędzy jedną a drugą łyżką jarzyny.

— Ale przecież ty sam — usiłuje przerwać pani.

— Naturalnie pragnę, abyś oszczędzała, ale rozumnie. Ujmować grosz, by potem dziesięcio koronówki pchać lekarzom do kieszeni, to nonsens.

I znowu biedna pani, gdy dzieci śpią i pan wypoczywa po trudach dnia, rozmyśla nad źródłem oszczędności i po kiku dniach, gdy pan znajduje się (co się rzadko zdarza) w dobrym humorze, proponuje.

— Mówiłeś o potrzebie oszczędności, więc myślę.

— No, cóż tam znowu myślisz, moja Aspazyo?!

— Myślę, że możnaby pewne ograniczenia poczynić w wydatkach na naukę dzieci. Chłopcom możnaby skasować angielskie, Wandzi lekcye fortepianu.

— Zwaryowałaś? Wydatki poniesione na naukę — to pieniądz najbardziej celowo użyty, wiedza — to kapitał, z którego się czerpie całe życie. Nie! wiesz co, ty masz za bajkowe pomysły.

— Wandzi lekcye fortepianu nie są konieczne, wybitnych zdolności nie ma.

— Moja droga, w Krakowie wszystkie panny grają bez względu na zdolności. Kobiecie potrzeba wychowania ogólnego. Może nie grać, ale muzykę odczuwać powinna, chociażby dlatego, by sala koncertów nie świeciła pustkami. Żart na bok, muzyka daje duszy kulturę artystyczną.

— Oddalę więc służącą i wezmę posługaczkę — z męczeńskim uśmiechem oświadcza pani, pan się śmieje.

— Coraz lepiej! Pomijając, że nie całuję rąk pachnących cebulką i pomyjami, że nie mam żony na to, by była w kuchni sługą, że wreszcie i — to bardzo seryo, wątpię o twoich zdolnościach kulinarnych, to pomyśl, coby ludzie powiedzieli? „Ten ma takie a takie stanowisko, a zamęcza wprost tę biedną kobietę“. Dziękuję ci. Dzierż łyżkę dwa razy do roku, około Bożego Narodzenia i Wielkiejnocy — to wystarczy.

— No więc weźmy mniejsze mieszkanie.

— Architekci dbają o to, by były coraz mniejsze, nawet się człowiek poirytowany wybiegać nie może. Najwyżej 5 m. wzdłuż, 4 wszerz, a zresztą podobność człowiekowi do życia powietrza potrzeba i nie jest oszczędnością...

— Wiem już, wiem — przerywa pani i z bolem serca postanawia ograniczyć wydatki na własną garderobę. Na sezon wiosenny sama upina sobie kapelusz przeszłoroczny i odnawia sobie wymarzonego płaszcza.

— Dokądże ty będziesz nosiła ten twój kostyum? — z niechęcią mówi mąż, idąc z żoną po Krakowskiej Riwierze. Na prawo, na lewo idą panie elegancko ubrane i on ogromnie lubiał, gdy i za jego panią szły zachwycone lub zazdrosne spojrzenia, cieszyło go, że ma taką wytworną, ładną żonę. Dziś zauważył, że jej kostyum nie jest właściwie modnym, a na dużym fasonie kapelusza, pióra zwisają przesmutnie.

— Ty, ten kapelusz, to coś ogromnie nie ten, tego...

— Sama upinałam...

— ?

— Chciałam zaoszczędzić.

— Moja droga, nie wiele człowiek ma w życiu, ale posiadanie ładnej żony, której nam zazdroszczą, należy do dużych przyjemności. Myślisz, że mi to miło, gdy widzę, że pół Krakowa dziś myśli, co się tej N. stało, że tak zbrzydła?

Widzisz, jak doktorowa uśmiechnęła się z politowaniem, a radczyni szepnęła coś adwokatowej. Jutro będą w Krakowie mówić, że N. jest blizki bankructwa, lub, że źle żyjemy ze sobą, a potem, „jak cię widzą — tak cię piszą". Żona tego a tego chodzi bajecznie ubrana. Mąż „ergo dessen" — mówiąc po polsku — ma kredyt otwarty, ma szacunek, żona dla przemysłowca, kupca, doktora, adwokata — to najskuteczniejsza forma reklamy. Już mi też takich przyjemności nie rób, proszę cię.

I państwo N. dążą do Gałdeńskiej, gdzie pani dostaje śliczny, twarzowy, trzy razy tak drogi kapelusik, jak zazwyczaj. A doszła do niego oszczędnością. Pomimo tego pani jest zrozpaczona, uznaje bowiem w całej pełni potrzebę oszczędności, a tymczasem wszystkie jej projekty upadły, a było w nich nawet tyle osobistego poświęcenia.

Więc teraz posłuchaj piękna pani (panie w Krakowie są piękne, naturalnie bez wyjątku, odkąd korzystają z naszego działu kosmetycznego), mąż miał słuszność, odrzucając twoje projekty, ale miał również słuszność, mówiąc o oszczędności. Oszczędność nie polega na wykreśleniu mięsa, a wprowadzeniu jarzyny, na zaniedbanym ubiorze, mniejszem mieszkaniu, ograniczeniu nauki i t. d. Musi ona być zaprowadzoną w całym budżecie naraz — nie w jego poszczególnych gałęziach, bo wtedy tylko jest celową.

Jeżeli bierzesz $1\frac{1}{2}$ kg. mięsa na obiad, weź tylko $1\frac{1}{4}$ kg., płatki będą nieco cieńsze, ale nie przyniesie to ujmy ani zdrowiu, ani jakości obiadu, $\frac{1}{4}$ kg. mięsa dziennie — to rocznie 91 kg., czyli przy obecnych cenach mięsa około 190 K zaoszczędzonych. W ten niewidoczny niemal sposób możesz oszczędzać na każdem polu. Zamiast oddalać służącą i sama zajmować jej miejsce — co byłoby błędnem, chociażby z tego względu, że w rądlach utonęłoby wychowanie twoich dzieci — zaglądnij częściej do kuchni, by nie było to państwo w państwie i by nią nie rządziła podwójna ekonomia służby i chlebodawców. Przypilnuj więc, by resztki pieczeni nie stały w szafie i po kilku dniach nie wędrowały w tajemnicy do pomyj, lub by zniecierpliwione oczekiwaniem same nie usiłowały opuścić półmiska, wogóle by w gospodarstwie twojem nie marnowało niedbalstwo lub zła wola dużego procentu artykułów spożywczych i t. d. Stare przysłowie mówi „prawdziwa oszczędność ma za podstawę zasobność" i rzeczywiście kupowanie na centy, na drobne ilości jest błędem gospodarstwa kobiecego, otrzymujemy, pomijając niedokładności wagi zawsze i opakowanie, a wszystkie torbeczki i papierki mają też swoją wagę. Prawdziwie oszczędna gospodyni powinna mieć śpiżarnię zaopatrzoną i starać się, by się w jej domu nic nie marnowało, nie wyrzucało. Źle pojęta oszczędność prowadzi do skąpstwa, a skąpstwo nie tylko jest ujemnym rysem charakteru, obniżającym moralną wartość człowieka, ale przynosi bardzo wątpliwe korzyści ekonomiczne.

U gospodyni skąpej, pomijając to, że wiele się marnuje przez źle stosowaną oszczędność, domownicy chorują przez złe odżywianie, kradnie służba, wogóle skąpstwo pani domu jest może dla otoczenia więcej szkodliwem, aniżeli nawet jej rozrzutność, przymusza bowiem nieraz wprost do wykroczeń. Dziecko źle odżywiane, pod nieobecność matki, tajemnie studyuje zawartość śpiżarni, zagląda do słoików z konfiturami, psuje sobie żołądek, uczy się kłamstwa i obłudy, służąca bierze koszyczkowe, zatraca poczucie granicy pomiędzy „mojem i twojem" więc gospodarstwo takie na wartości ekonomicznej nie zyskuje, na moralnej zaś poważnie traci.

Przeciwnie u gospodyni oszczędnej i zapobiegliwej w miarę wszyscy są nasyceni, więc nie potrzebują uciekać się do kłamstw i wybiegów, nie marnuje się nic, ale i ptaki dostaną resztki bułki i biedny nie odejdzie od progu nieobdarzony.

Na swojej własnej zewnętrzności też powinna kobieta oszczędzać w miarę, powinna zawsze sprawiać wrażenie wytworne i eleganckie, skromne, ale szykowne — zarówno w sypialni, jak i na Krakowskiej Riwierze. Nie myślcie, panie, że dbając o waszą powierzchowność, wyrzucacie pieniądze przez okno... przeciwnie, w utrzymaniu naszej strony zewnętrznej na wysokości piękna, leży nie tylko tajemnica młodości, szczęścia nieraz, ale i duża — oszczędność. Mąż, który ma wytworną żonę, nie spogląda za innemi, z chwilą jednak, gdy porównania jego zaczynają wypadać na niekorzyść kobiety - żony, to i on sam znajduje się na najlepszej drodze do małżeńskiej niewiary, a dwa gniazda rodzinne kosztują stanowczo więcej, aniżeli dbałość kobiety o utrzymanie własnej urody.

Przedewszystkiem żona powinna chcieć być piękną dla człowieka ,którego kocha i w którym pragnie miłość utrzymać, a potem dopiero dla ludzi.

Systemem fałszywym, a niestety bardzo zakorzenionym są przybrukane kaftaniki czy szlafroki po domu, a wytworne kostiumy na przechadzce — i oszczędność ta, a raczej niedbałość zazwyczaj kobiety bardzo drogo kosztuje, nie tylko pod względem pieniężnym...

Dzień światowej damy.

Wprawdzie rzadko która kobieta światowa przepędza swój dzień według zgóry ułożonego planu, ale przecie dla niektórych czynności i przyjemności ma wyznaczone godziny, których ze względu na tradycyę i celowość trzyma się z prawdziwie wzruszającą punktualnością. Nie mówię o ogólnej punktualności kobiet, bo jest to temat nadzwyczaj niewdzięczny, a przy tem nie chce sobie stworzyć nieprzyjaciółek. A więc po obudzeniu rano (rano jest to pojęcie dziwnie rozciągliwe), które następuje przy pomocy pokojowej i połączone bywa z różnemi przeszkodami, rozpoczyna się czynny dzień światowej damy; otwiera go zazwyczaj szereg rozmów telefonicznych. Zamawia się krawca, pyta jak się bawiła przyjaciółka na kolacyi, chwileczkę rozmawia się z dobremi przyjaciółmi i układa „coś zajmującego" na popołudnie albo na wieczór. W tym czasie już druga i trzecia

poczta przyniosła coś interesującego do czytania lub wymagającego odpowiedzi.

Obszerną korespondencyę, prowadzą teraz wszystkie panie, które łaskawy los uchronił od ostrych wichrów i burz życiowych. Tu pisze sympatyczny pan, którego się poznało w lecie w kąpielach, albo przyjaciółka donosi o zaręczynach, a dalej listy w barwnych, czworogrannych kopertach, same rzeczy niezajmujące, rachunki, które się odsyła z pośpiechem na biurko małżonka. Jeszcze pół godziny poświęca się czytaniu modnej literatury, przeglądnięciu tygodników i gazet codziennych, by zoryentować się co do teatrów, koncertów i nowości, które daje stolica. A potem idzie pani ze swoją zabaweczką, modnym pieskiem, na spacer poranny, po drodze ogląda modele w wystawach i wstępuje do przyjaciółki na kilka minut.

Światowa część dnia, poświęcona zabawie, nadchodzi dopiero po południowym wypoczynku na miękkiej otomanie, wśród stosu poduszek i poduszeczek. Popołudniowa herbata o piątej tworzy punkt wybitny i na tę porę przeniesiono godzinę wizyt oficyalnych. W godzinie herbaty wielki świat jest przyzwyczajony widzieć zawsze jednego lub dwóch gości u siebie i nigdy nie rozmawia się tak miło, tak serdecznie, jak gdy za zapuszczonemi firankami stojąca, przesłonięta lampa rzuca zgaszone, nastrojowe pół tony, a w srebrnym kociołku szumi woda. W smukłych wazonach powinno być zawsze kilka cudnych, wonnych róż, których ofiarodawcą jest może właśnie gość pani. Pomiędzy godziną 5 a 7 wre ruch także we wszystkich hotelach. Cygańska kapela gra ciche, dyskretne, kołyszące do marzeń melodye, stają się one tłem dla rozmów toczonych przy małych stolikach. Cały wielki świat, przejezdni i krajowcy dają sobie tutaj rendez-vous. Młoda pani z pisarzem, którego poznała przed kilku dniami, elegant z damą, wobec której nie wie jeszcze dobrze jak się zachować. O wszystkiem toczą się rozmowy: o koniach i podróżach, polityce i plotkach najświeższych. Wielu jest w wielkich miastach ludzi, którzy mają zawsze czas wolny, albo nie mają wogóle zajęcia, treść ich życia stanowi: ranek w tattersalu, południe przy boku pięknej pani, która im pozwala łaskawie nieść swoje drobne sprawunki, po południu zastanawiają się przy Five o'clock tea jak przepędzić wieczór, by był miłym i przyjemnym. O godzinie 7 spogląda pani niespokojnie na zegarek, umieszczony na kostce smukłej nóżki i auto jedzie w kierunku domu, gdzie wszystko przygotowane już jest do przebrania.

Jak szybko ten czas mija, rozpoczyna się dzień tak wcześnie i pomimo tego wprost nie można zjawić się w miejscu umówionem punktualnie. Pan czeka już zniecierpliwiony w płaszczu na ramionach, w cylindrze zsuniętym na kark, rysując laseczką, o złotej gałce, desenie na prawdziwym perskim dywanie. Nareszcie wychodzi pani ze swojej ubieralni, na jej widok wygładza się zmarszczone czoło pana. Pierwszy akt w teatrze skończył się właśnie, przybyli jednak na czas, by z burzy oklasków wywnioskować o wartości sztuki. W czasie przerwy przychodzą znajomi, toczą się układy o przyszłe przyjemności. Pan nieznacznie ulatnia się w kierunku sceny, za kulisy, tymczasem... w mrocznej głębi loży, spotykają się dwie dłonie... w wymownym uścisku.

Zanim kurtyna zapadnie, po raz ostatni otulają się państwo w płaszcze i auto pędzi do kawiarni, baru, wogóle do lokalu, który w wielkim świecie jest właśnie en vogue. I znowu łkają skrzypce tęsknotą, radością, dźwięczy głośniejszy teraz śmiech pań, półwykrzykniki panów. Żywo toczy się rozmowa, odnajdują się ci, którzy się pragną odnaleźć, nikt więcej nie myśli o czasie, o godzinie. W kielichach perełkuje sekt, tęskne oczy toną w sobie wzajemnie, chwila upragnionego „nareszcie sami" już się zbliża.

MODY.

O modzie dzisiejszej powiedzą kiedyś kroniki ubrania kobiecego, że ulegała wpływom strojów egzotycznych. Jeszcze przed laty kilku moda szukała motywów do nowych „kreacyi" w kostyumach starofrancuskich, aż doszła do stylu „dyrektoryatu" i „cesarstwa". Następnie zwróciła się do szat greckich, egipskich i tureckich, do japońskich i perskich, w odpowiednim, oczywiście, do wymagań nowoczesnych stylizowaniu; obecnie zaś, zgodnie z „chwilą bieżącą", czerpie moda pomysły w strojach wojujących narodów bałkańskich. Wiosna przynosi tchnienie ducha bułgarskiego, serbskiego, a nawet czarnogórskiego; niemniej jednak zaznacza się też w Paryżu prąd zachodni, który ze skłonności do „paniers" rokokowych, zostawił obustronne podpięcie spódnic, a ze strojów z czasów Katarzyny Medicis zachował kołnierze z tyłu wysokie, stojące, z przodu zaś otwarte, okalające śpiczaste wycięcie stanika.

Przepisy powyższe kodeksu modnego stosują się wszelako do tualet, przeznaczonych na zebrania, wizyty, obiady proszone, do teatru, a pomysłowe krawczynie tworzyć je będą z materyałów jedwabnych: satin charmeuse, crêpe de Chine, ottoman, crêpon schantung, z mory, lub też, skromniejsze, z wełnianego wzorzystego kreponu. A tualety takie winny być dwubarwne — albo w delikatnych tonach konchy perłowej, umiejętnie dobranych, lub też w kolorach żywszych, bor-

deaux, szmaragdowym, wiśniowym, żółtym. To już w zestawieniu działać powinien smak artystyczny zarówno twórczyni stroju, jak i tej, dla której jest przeznaczony.

Ulica ma swoje wymagania i kostyumu trotteur, tak doskonale do wymagań tych dostrojonego, nic, zarówno jesienią, jak wiosną z zajętego, panującego stanowiska nie wyprze. Spódnica ma być w sezonie bieżącym — krótka jak zwykle — ale szersza, przeważnie plisowana na bokach, w tyle, albo też cała. Jednakże i do tego „klasycznego" stroju ulicznego wnosi wiosna tegoroczna, zgodnie z burzliwym nastrojem na świecie, pewne przewroty, łagodzące jego surowość. Więc przedewszystkiem i tu zalecana jest dwubarwność, gustowne zestawienia; tak np. krótkie, luźne kaftaniczki z gładkiego sukienka, noszone być winny do spódnic w kratkę, lub w kostkę, drobno plisowanych; wykończenie niezbędne kaftaniczka stanowi wykładany, haftowany kołnierz batystowy, linon, i takież mankietki; może być też taki garnitur z haftu bułgarskiego.

Zgodnie wszelako z prądami chwili, obmyśliła też moda „męską" odmianę niewieściego kostyumu, która niewątpliwie przyjęta zostanie przez sufrażystki wszelakiego typu. A więc wązka, krótka spódnica, smoking z kwiatem w butonierce, kamizelka biała, wysoki, sztywny kołnierzyk z zagiętymi rogami i krawat czarny, owinięty dokoła kołnierzyka á la 1830. Kapelusik słomkowy, zbliżony fasonem do „meloników" męskich, albo materyą, czy skórą obciągnięty cannotier, przepisany jest do tego stroju kobiecego. Cover-coaty i repsy wełniane, t. zw. pluszowe obmyślono na kostyumy spacerowe sezonu bieżącego.

Kamizelka zresztą zdobyła sobie prawo obywatelstwa i przy innych strojach spacerowych, do których noszone będą żakiety otwarte, krojem Cutaway, lub też z krótkimi stanami, odciętemi połami i wyłogami z kołnierzem Robespierre. Oprócz tych ostatnich i wymienionych poprzednio krótkich bardzo, luźnych, czyli dawniejszych „saków", noszone być mają bolera na bluzkach z wysoko w pasie upiętą szarfą. Rękawy stanowczo zawsze długie. Spódnice do kostyumów strojniejszych przepisane są lekko z boku podpięte, do skromniejszych — z odznaczoną tuniką zapomocą dwóch części materyału skrzyżowanych.

Wielkie kapelusze, zasłaniające twarz całą muszą na razie ustąpić. Toki, tiulowe i jedwabne małe, bardzo zręcznie upinane kapelusze słomkowe, z wielką kokardą z tyłu są największą nowością. Kwiaty jedwabne i aksamitne, tymczasem, w zastępstwie gazowych letnich, są też bardzo zalecane do przybrania tych kapeluszy. Oczywiście stylowy rembrandt, strusiem piórem — byle tylko nie pleureus'ea — niefryzowanem przybrany będzie zawsze najodpowiedniejszy do tualety strojniejszej.

W dziedzinie płaszczów moda jeszcze na sezon bieżący ostatniego słowa nie powiedziała. Zdaje się jednak, że, choć bardzo praktyczne, ale bardzo niegustowne double-face, krojem męskim, z patką z tyłu, lub z ramionami skośnemi, pod pachę zachodzącemi, a psującemi całą linię sylwetki kobiecej — dogorywają. Natomiast zaczynają się ukazywać płaszcze krojem półwciętym, z materyałów w drobną krateczkę czarną z białem, lub białą z granatem.

Wiosenne mody dla panów.

Moda tegoroczna przynosi i panom pewne zmiany, a ponieważ każdy niemal pan (udający nawet pogardę dla zewnętrznego wyglądu) w gruncie rzeczy bardzo jest drażliwym na tym punkcie właśnie, więc przypuszczam, że niejeden z P. T. czytelników, chętnie odbędzie ze mną przegląd tego, co moda nakazuje lub broni ludziom, którzy chcą być dobrze ubranymi, w tym sezonie. A więc...

U b r a n i e s a k o w e a l b o ż a k i e t o w e, wygląda najładniej, gdy sako, kamizelka i spodnie zrobione są z gładkiego lub prążkowanego materyału jednej barwy; jest to jedyne ubranie w garderobie pana, gdzie moda dozwala użycia kolorów; namodniejszymi są: bronzowy, butelkowy, zielony, głęboko popielaty i ciemno granatowy. Ostatnią nowością jest sako czarne, krótkie, z podwójnym rzędem guzików, dopasowane do figury, ale nie obcisłe, z jedną tylko kieszenią zewnętrzną po lewej stronie torsu. Wygląda ono pojedynczo i wytwornie i do południa na oficyalnych wizytach i przyjęciach zaczyna zastępować czarny cutaway. Naturalnie, należy wtedy do niego czarna krawatka i wykładany angielski kołnierzyk. Do saka nosi się według upodobania spodnie gładkie lub z markowanem podwinięciem, w każdym razie szerokie, zwężające się silnie ku dołowi. Guziki są przy ubraniach z materyi gładkich, z materyi, natomiast przy ubraniach prążkowanych z rogu. Do ubrań żakietowych nosi się: kapelusze słomkowe, panama, czarne twarde lub miękkie. Sako wiosennego sezonu odznacza się nieco dłuższymi ranwersami, najmodniejszemi są materyały: angola, worsted, tweed i kaszmir.

P o p i e l a t y c u t a w a y jest ubraniem noszonem na wyścigi, promenady, korsa kwiatowe, koncerty i t. d. Zapina się na jeden guzik, z pod zapięcia wychyla się okrągła lub śpiczasta kamizelka, spodnie są szeroko prążkowane lub popielate. Jaśniejsza kamizelka, ale tylko w tonach srebrnawo-błękitnych jest dozwolona. Do popielatego cutawayu nosi się: amerykańskie lakierki z obłożeniem ze skóry popielatej, która jednak nie powinna być jaśniejszą od tonu spodni. Zapinki do mankietów powinny być ze srebra, ton podkładny krawatki powinien być popielaty. Meloniki i kapelusze słomkowe uważane są za wykroczenie, no-

si się do cutawayu tylko popielaty lub czarny cylinder. Okrycie powinno być dostosowane do barwy cylindra, przy czarnym — wcięty paletot czarny, przy popielatym wolny, krótki paletot, odrobiony na popielatym jedwabiu.

Czarny cutaway nosi się teraz niemal wyłącznie na miejsce anglezu, na herbatki, wizyty, do teatru, na wieczory tańcujące i t. d. Stosowane dawniej obszycie bortą wyszło obecnie z mody, materye na cutaway obiera się obecnie ostre, grubo tkane. Zapina się, jak jego popielaty braciszek, na jeden guzik, krój na rok 1913 odznacza się specyalnie głębokiem wycięciem, śpiczastymi końcami kołnierza, jednym guzikiem i bardzo silnie ściętymi szosami, bez szlików. Klapki kieszeniowe i stębnowane brzegi wyszły z mody. Paletot nosi się do niego czarny, jako nakrycie głowy cylinder lub czarny melonik. Barwne krawatki wyklucza moda, pozwalając na czarne, przepięte pojedyńczą perłą lub co najwyżej biało-czarne bez przepięcia.

Smoking jest to ubranie głównie klubowe, noszone rzadko w towarzystwie pań, przeznaczone do zabaw w kole domowem, czysto męzkich zebrań, widuje się go także — w tylnych rzędach parteru w teatrze, na koncertach i przy obiadach mniej jak 6 nakryć). Do smokingu należy czarna kamizelka, czarna krawatka, czarny melonik i paletot z ranwersami jedwabnymi.

Anglez pozostał wprawdzie szatą dyplomatów, urzędników państwowych, ale coraz to bardziej wychodzi z mody. Fason na r. 1913 odznacza się głębokimi jedwabnymi ranwersami, przody są tak krótko krajane, że brzegi się stykają, jak do cutawayu, nosi się do niego spodnie popielate— czarne pozostawiając radcom, profesorom i t. p. Jest to jeszcze wciąż poważna szata, ukazująca się na wszystkich konferencyach, radach familijnych, wogóle w okolicznościach potrzebujących poważnego nastroju.

Frak jest to najwytworniejsze ubranie wieczorowe, pod „ewening dress" podciąga Anglik i Amerykanin tylko i jedynie... frak. Nosi się go na bale, kolacye, wieczory towarzyskie, do teatru i t. d. Wielu naszych panów wprawdzie mniema, że z wiosną wiesza się frak na kołku, lub gdy się jest żonatym, powierza się go żonie, by zabezpieczywszy od moli, schowała w głąb kufra, ale... panowie, zarówno w lecie jak w zimie, wkłada się frak do loży teatralnej, do wytwornych restauracyi i t. d. Dawniej wykonywano fraki tylko z czarnej materyi melton, tego roku, w zimie zaczęto używać materyi delikatnie prążkowanej. Kamizelka, wystająca silnie poza przody fraka, jest z białego sukna lub z piki, spodnie zdobi szeroka borta. Krawatkę tworzy w wązką formę libelli związany batyst biały, guziczki zupełnie gładkiej sztywnej koszuli, tworzą dwie białe perły. Na miejsce złotych zapinek do mankietów, nosi się emaliowane czarne z białem lub z białych kamieni. Wogóle ubranie frakowe pana, to czarno-biała symfonia... nawet łańcuszek do zegarka zastąpiła czarna wstążeczka jedwabna... złoto wogóle zostało wyklętem z męzkiej tualety. Uzupełniają strój: silnie wycięte pemsy z gładką, czarną wstążką lub paskiem skórzanym, jedwabne czarne pończochy i chapeau-claque.

Krawatka. Jeszcze kilka słów poświęcimy krawatce, bo jest to nadzwyczaj kapryśna istota... źle dobrana, potrafi zepsuć wrażenie wytworności u najlepiej ubranego mężczyzny. Od bardzo jasnych najlepiej odstąpić, jest przecie tyle dyskretnych, matowych barw pośrednich, jak oliwkowa, terakotowa, szara, błękitnawa i t. d. Wszystkie te kolory, na podłożu w tym samym tonie utrzymanej koszuli, dają jak najlepsze wrażenie. Mniej więcej bierze się do ubrań krawatki w tym samym lub pokrewnym tonie i tak: do granatowych—błękitna lub bronzowa, do bronzowych—bronzowa lub zielona do popielatych — popielate, gołębkowe lub liliowe... czarnych nie nosi się do ubrań sakowych, z wyjątkiem saka czarnego.

Naturalnie panowie powinni dobierać krawatki i do swojej zewnętrzności... bruneci n. p. powinni się wystrzegać tonów liliowych, szczególniej w silniejszych nuansach, błękitnych, wogóle wszystkiego, w czem blondynowi bywa do twarzy i przeciwnie. Zresztą jest to rzecz gustu, odczucia barw, umiejętnego zastosowania... i własnej indywidualności.

O kostjumach sportowych i do podróży postaramy się w najbliższym czasie poinformować naszych czytelników.

Rozmaitości.

Lampki napełnione perfumami zyskują coraz większe uznanie w salonach. Niedawno, zwrócono mi uwagę na nowy i bardzo odpowiedni system, mianowicie: bierze się wazę z barwnego lub opalowego szkła, z szerokim otworem górnym (na przykład kuliste wazy kwiatowe nadają się do tego celu znakomicie) i umieszcza się w nich lampkę elektryczną, lub w braku tejże małą lampkę spirytusową. Jeżeli wewnętrzne oświetlenie tej miniaturowej lampy następuje za pomocą spirytusu, to umieszczamy na ważce siatkę drucianą, a na niej stawiamy ozdobną podstawkę ze szkła lub porcelany, napełnioną perfumami. Jeżeli w wazie umieszczoną została lampka żarowo-elektryczna, to napełniamy wazę wodą zmieszaną z perfumami, która pod wpływem ciepła wydzielanego z lampy, zwolna odparowuje. W ten sposób możemy sobie stworzyć wiecznie pachnące lampy, złudzenie lata, gdy za oknami deszcz ze śniegiem miecie. Tajemniczy nastrój woni i półtonów, którego siłę znali już kapłani Egiptu i stosowali w misteryach swoich świątyń. Więc próbujcie, piękne panie, w salonach waszych i buduarach, tylko sypialnie, ze względu na hygienę, wyłączcie z odurzającej woni kwiatów. Jako kadzidło do lamp wonnych nadaje się każda perfuma zmieszana z wodą — naturalnie ten sposób jest dużo kosztowniejszym, aniżeli będące dotąd w użyciu esencye wonne, ale każda nowość wabi.

Prawdziwe koronki á l'aignille, które niegdyś noszono w ręce, jako dekoracyę, znalazły obecnie inne zastosowanie, mianowicie: kładzie się je na bardzo delikatnej w kolorycie poduszce jedwabnej (najoryginalniej wygląda poduszka okrągła), którą ubiera się do koło płasko przylegającą wypustką tak zwaną „ruche á l'ancienne", jako dalszą dekoracya służą: recznie szyte, delikatnie tonowane kwiatki jedwabne lub płasko układane kokardy z wstążek rococo.

Czarne atłasowe buciki i białe pończoszki nosi se teraz wiele do czarno-białych tualet wieczorowych. Pończoszki nie są ażurowe tylko jedwabne. W czarnych bucikach noga wydaje się o wiele mniejszą, niżeli w białych. Obcasy nabijane kamyczkami wyglądają nader elegancko przy tej nożnej tualecie. Buciki, ze skórzanemi obcasami amerykańskimi nie nadają się do tańca, jak również

L. 141437/1912. Kraków, dnia 14 marca 1913 r.
I. a.

Ogłoszenie.

Podaje się do publicznej wiadomości, że celem oddania w przedsiebiorstwo dostawy zaprzęgów dla odwozu nieczystości kloacznych z miasta Krakowa do leja w Dąbiu w czasie od 1 stycznia do 31 grudnia 1913 odbędzie się w Wydziale I. a. (ekonomicznym) Magistratu (nowe skrzydło od ulicy Poselskiej II. piętro) we czwartek dnia 27 marca 1913 licytacya ofertowa.

Ostemplowane i opieczętowane oferty składać należy na ręce Naczelnika Wydziału ekonomicznego w powyższym dniu od godziny 8 rano do godziny 12 w południe o której to godzinie nastąpi otwarcie ofert.

Ze względu na rozmaitość odległości poszczególnych dzielnic miasta od miejsca odwozu, ceny odwozu podane być winny według następujących 5 kategoryi:

Za odwóz z dzielnic:

1. I. —VIII tj. z dawnego Krakowa,
2. IX —XI tj. z dzielnic za Wisłą położonych.
3. XII—XVI tj. z dzielnic Półwsie Zwierzynieckie, Zwierzyniec, Czarna Wieś, Nowa Wieś, Łobzów.
4. XVII—XVIII tj. z dzielnic Krowodrza, Warszawskie, wreszcie
5. XIX—XXI tj. z dzielnic Grzegórzki, Dąbie, Płaszów.

W razie wygrzeczenia innego miejsca odwozu gminie służy prawo zawarcia osobnej umowy z dostawcą, względnie rozpisania osobnej licytacyi.

Wadyum wynosi 5000 K., które złożyć należy w gł. Kasie miejskiej przed dniem licytacyi.

Warunki licytacyjne przejrzeć można w Wydziale ekonomicznym Magistratu w godzinach urzędowych.

Magistrat stoł. król. miasta Krakowa.

bucilki kombinowane z biało-czarnej skóry, są one bowiem ucieleśnieniem typu „demi-toilette“.

„Dernier Chic“ tworzy podawanie przy przyjęciach popołudniowych, najrozmaitszych filiżanek, im większe różnice w formie i kolorycie, tem lepiej. Porcelana jednak powinna być bardzo cienką, filiżanka ciężka nie jest elegancką, a znawcy herbaty twierdzą, że zyskuje ona w smaku, gdy jest podaną w cienkich filiżankach.

Najmodniejszemi są portfele, wykonane z mory lub atłasu, z przejrzystym brzegiem srebrnym. Na zewnątrz nie uwypuklają się one, a jest w nich dość miejsca na banknoty i konieczne karty wizytowe. Niezwykle wytworni panowie, mogą sobie pozwolić na użycie portfeli uszytych z resztek starych brokatów, t. z. mogą pozwolić na obdarzenie się niemi. Tylko bardzo kosztowne, prawdziwie wypełznięte brokaty mogą znaleźć zastosowanie. Brzeg zewnętrzny miękko odrobionej torebki zdobi borta metalowa, farbowana staroświecko, wnętrze wyściela jakikolwiek miękki jedwab, w odpowiednim tonie. Poza tem modnemi są portfele ze skóry daeila, ze złotem lub srebrnem okuciem na brzegach. U bardzo wytwornych panów, portfel zastosowany jest zawsze do ubrania, przy fraku nosi się go z czarnej, miękkiej skóry, do letnich ubrań sakkowych ,ze skóry jaśniejszej lub z materyi. Bardzo ładnie wyglądają także kolorowe wytłaczane portfele ze skóry, wyrób hiszpański.

Odpowiedzi z kosmetyki.

„Zosia“, Kraków. Do kąpieli używa się wprawdzie octu tualetowego, wody kolońskiej lub perfum, ale naszem zdaniem, sprowadza kąpiel taka silne odurzenie. O ile chodzi o nadanie woni ciału, to już stanowczo lepiej jest natrzeć po kąpieli ciało esencyą wonną.

M. D. w K. 1) Kwas karbolowy należy przechowywać w cieniu, 2) Olejek Hel.

Anita w Przemyślu. 5 kropli olejku różanego rozpuścić w 1000 g. wody ciepłej.

W. H. W tym wypadku należy zasięgnąć porady lekarskiej i to naszem zdaniem możliwie szybko. Adresów lekarzy nie udzielamy.

Pan W., Sącz N. List wysłany.

Pani G. S. w Wadowicach. Myć twarz w wodzie przegotowanej otrąbkami migdałowymi lub wodą ryżową.

Pan Wacław. Olejki do włosów znane były już w odległej starożytności. Kryton, lekarz przyboczny cesarza Trajana wylicza 25 najrozmaitszych odmian.

Pani S. I. w M. Gorące kompresy przez kwadrans, potem natrzeć gliceryną lub kremem.

Pan D. Mentolowa wódka francuska.

Pani M...a. Kremy a la longue nie są dobre, skóra łatwo łuszczy się i żółknie, powstałe z tego powodu łuszczenie usuwa Emulsya radyoaktywna, smaruje się nią twarz, zostawia płyn na twarzy przez kwadrans, następnie zmywa się przegotowaną dobrze ciepłą wodą bez mydła.

Pan S. w Wieliczce. Odpowiedź wyczerpująca pocztą.

Pan H. M. 1) Masaż może być stosowanym tylko przez osobę fachową, nieumiejętnie prowadzony może właśnie wywołać zmarszczki. — 2) Wszelkie trunki podniecające działają szkodliwie na cerę, co do czarnej kawy zdania są podzielone, Turczynki odznaczają się przepiękną cerą, chociaż kawa należy do ich ulubionych napoi.

Pani C. w Sanoku. List wysłany pocztą.

Pani Mara. Eter octowy zmieszany z odrobiną olejku goździkowego naśladuje łudząco zapach świeżych poziomek.

Karolina R. Zadawnione piegi, żółte plamy i pręgi na szyi schodzą po użyciu kremu dra Orqley'a. Kremem smarować na noc, płynem Vesta zmywać rano.

Pan M. Do polerowania paznokci bardzo dobrym środkiem i tanim jest Poudre Email, wyrobu warszawskiego. Mydła Malinowskiego doskonale działają.

Anna B. w Podgórzu. Szarawe i ciemne punkciki na naskórku, są to wągry w pierwszym okresie, które dadzą się usunąć „Wągryną“ nasyconą na watę, co należy robić przed rannem umyciem twarzy.

Pani M. D. w Chrzanowie. Pręgi szarawe na szyi powstają z noszenia wysokich kołnierzyków. Usuwa je zmywanie spirytusem 15%. Co do drugiego pytania, to należy unikać potraw ostrych i napoi zawierających alkohol.

Pan S. G. Niestety żadnego środka na schudnięcie poradzić nie możemy, ponieważ, jak to zaznaczyliśmy, polecamy jedynie wyroby działające skutecznie i nieszkodliwie. Herbatki zaś anonsowane przez dzienniki, zawierają środki gwałtownie przeczyszczające, a zatem często dla organizmu szkodliwe. Możemy polecić ruch, gimnastykę, wikt jałowy.

Pan J. Środek, o który pan pyta, jest polecenia godnym. Co do naszej dyskrecyi, może pan być zupełnie spokojny, listy czyta tylko referent kosmetyczny, poczem korespondencya ulega zniszczeniu.

Pani K...ma. Prosimy o nadesłanie marki 25 h., ponieważ tylko za nadesłaniem marki odpowiedzi udzielamy.

Pani Basia. Krem ogórkowy.

Pani J. D. w Brodach, L. Przemyśl, Erna K. W. P. Ludwik. Odpowiedź wysłana pocztą.

MAŁY FEJLETON.

NA PRZYZBIE.

Po swojej drodze chodzę ja,
Na swojej wzrosłem grzędzie...
A czy tam na niej śmiech, czy łza,
Czy echo dzwoni, czyli łka,
Co być ma, niechaj będzie.

Po swojej drodze chodzę ja:
Ku chmurom, czy do słońca...
I póki w piersiach życia skra,
I póki serce tętnem drga,
Iść będę hen, do końca.

I choćby świat mi boleść słał,
Piołunem zatruł dolę,
Na swojej drodze będę trwał
I swoje ziarno będę siał
Na swoją, bliską rolę.

I pieśnią w odwet rzucę.
Z tej drogi nie zawrócę...
Światu, co kamień w dłonie brał,
Kawały z serca będę rwał
I z pieśnią w odwet rzucę.

A choć już resztki strawię sił,
Choć z uczuć pierś wygłodzę...
Padając, jeszcze będę śnił,
Że tam, gdziem krokiem w życiu był,
Pozostał ślad na drodze.

El.

LUDWIK CZAYKOWSKI.

Eli, eli, lamma sabactani?

Żem miał snów ciszę... wśród dziecięcych rojeń
Do jakiejś świętej zdążałem przystani,
I żem z kryształnych brał nektar upojeń
Aż... mnie w bezświetlne los strącił otchłanie,
Że mi z nich nie wstać... nawet wśród uznojeń —
Trwożę się... „Eli lamma sabactani?!“

Żem wierząc, — w modłach myśl niosłem Ci białą,
Że mnie usłyszysz w łzie... uwięzłej w krtani,
W łzie, co w niej duszę w lot słałem Ci całą...
Iż ją, w tym locie skrwawili szatani —
Abym się kajał ...nad jej treścią małą —
Smucę się ...„Eli lamma sabactani?!“

Że szedłem w słońcu, — a teraz w ciemności
Błądzę — daleki celu i... przystani,
Że więcej spokój w duszy mi nie gości,
Że sojusznicy bólu mi nieznani,
Że nie wiem kędy na sen złożę kości,
Płaczę... o „Eli lamma sabactani?!“

Stanisławów, 14 kwietnia 1912.

Przypadkowy pocałunek.

Mieszkaliśmy w jednym domu.

Ona na facyatce przy boku ojca urzędnika i schorzałej matce, a ja „okno w okno“ na drugiej facyatce, do której droga wiodła przez inne schody.

Wieczorem, kiedy powracałem po uciążliwej pracy do domu, aby zasiąść do dalszej, rozłożonej na stole, ustawionym pod oknem, mimowoli musiałem piękność swej sąsiadki podziwiać.

Czy wieczorem przy oświetleniu lampy, czy w dzień jasny, zawsze wydawała mi się niezwykle uroczą.

Oczy, jak habry, kibić zgrabna i wysmukła, jasne, przepyszne blond włosy i uśmiech na małych usteczkach, przecudny a bolesny zarazem, zdobiły tę ziemską postać.

Miała nie więcej, niż lat siedmnaście.

W domu u nich było, jak mówią „krucho“, bo w tak młodym wieku widziałem ją wiecznie zapracowaną, siedzącą przy oknie.

Walentowa, stróżka, ochmistrzyni mego dworu, przychodziła codzień zaopatrywać mnie w naftę, bułki, serdelki, kiwała znacząco głową, patrząc na mnie, a nawet raz ośmieliła się zauważyć:

— Pan to pewnie kocha się w tej panience z przeciwka. Widzę, że ile razy pan głowę podniesie, to patrzy zawsze w to okienko, a bo co prawda, to śliczne tam stworzenie siedzi... może z tego co będzie!

Ofuknąłem Walentową, aby podobnych uwag mi nie robiła, gdyż żadnych zamiarów względem panienki z przeciwka nie mam, a tylko spoglądając czasem w okno, podziwiam pracowitość dziewczątka w tak młodych latach.

— Pracowita to, bo pracowita — rzekła staruszka — szkoda, żeby się z jakim nicponiem nie zmarnowała — i... na tem rozmowa się skończyła.

Niespełna trzy tygodnie Walentowa moja kręciła się po mym pokoju, jakby przed wyjściem chciała mi coś ważnego powiedzieć.

Zrozumiałem, że ma coś na sercu, więc zagadnąłem:

— Czy Walentowa ma jaki interes?

— Eee... nie, proszę pana, jeno chciałam powiedzieć, że ta z przeciwka ma już narzeczonego.

— Co to mnie może obchodzić?

— A nic, proszę pana, jeno chciałam powiedzieć panu, że jest on do pana bardzo podobny. Ten sam wzrost, ten sam zarost, ten sam chód, tak, że nie przymierzając, możnaby wziąć pana z daleka za jego brata, czyli jego za pana.

— To tylko miała Walentowa do powiedzenia?

— A tak, proszę pana, bo mi się bardzo dziwnem wydawało.

Zaciekawiony spostrzeżeniem stróżki, w niedzielę obserwowałem wyjście moich sąsiadów z domu na spacer. I spostrzegłem, że rzeczywiście przy boku mojej sąsiadki — Władzi, szedł młody aspirant do serca. Na pierwszy rzut oka dziwnie był do mnie podobny, lecz... przystojny, gdy tymczasem ja urodą pochwalić się nie mogę.

W dwa tygodnie znów potem, przyszedłszy do mojej izdebki, znalazłem kartkę na stole:

„Niech pan będzie łaskaw dziś zajść do mnie: mam ważny bardzo interes, dziś koniecznie! Życzliwy — Rządca domu

Przepiórkiewicz“.

Pobiegłem niezwłocznie. Szaro już było na schodach, nie oświetlonych jeszcze, gramoliłem się więc na nie, zgóry miarkując, ażebym przez pomyłkę nie wszedł do mieszkania rodziców Władzi, którzy zajmowali mieszkanie w sąsiedztwie zarządzającego domem. Kiedy pomyślałem o tem w duchu, nagle posłyszałem, iż drzwi któregoś z mieszkań raptownie się otworzyły i postać niewieścia szybko zbiegła po schodach.

Spotkawszy mnie na drodze, rzuciła się z całą siłą w me objęcia, szepcąc wymówki:

— Mój kochany, dlaczego tak późno? Tego nie lubię, zapominasz się!

A kiedy przytrzymałem biust jej okrąglutki, ażeby razem z nią nie stoczyć się ze schodów, pocałowałem na swych wargach słodki pocałunek.

— Prze... prze.... — bąknąłem nieśmiało.

Władzia, ona to bowiem była, porwała się jak spłoszona sarna i uciekła szybko; słyszałem tylko drzwi z łoskotem się zamykające.

Oszołomiony, znalazłem się u rządcy domu. Prosił mnie grzecznie usiąść i tłómaczył jak wielkim kosztem postanowiono piec w moim pokoju przerobić na zimę.

Słuchałem w roztargnieniu i nawet nie podziękowałem za ten objaw dobroci gospodarza. Wyszedłem w roztargnieniu.

Usta moje palił pocałunek dziewczęcia.

Rzuciłem się na łóżko i marzyłem rozkosznie.

Na drugi dzień Władzi w oknie nie widziałem.

Po kilku tygodniach, przez czas których nie śmiałem znienacka zaglądać do okienka, dowiedziałem się, że Władzia wyszła dobrze za mąż i wyjechała.

Teraz po kilku latach niewidzenia spotykam moją Władzię, kiedy idzie pod rękę z mężem, bogatym korzenniklem i prowadzi za rękę małego bębna.

Dreszcz jakiś przebiega me członki, a ona widząc mnie, widać przypomina sobie coś, bo spuszcza główkę i rumieni się nieco.

Mijając ich rozmyślam, czy to nie był najserdeczniejszy pocałunek w mem życiu — od pięknej dziewczyny?

„GAZETA PONIEDZIAŁKOWA“
wychodzi zawsze w poniedziałki o g. 6-tej rano i jest do nabycia na dworcach kolejowych, w agencyach i biurach dzienników.

Odpowiedzialny wydawca i redaktor **Zygmunt Rosner.** Drukarnia »Prawdy« w Krakowie pod zarządem J. Jondry.

zastrajkiem generalnym mimo odradzań posła Vandervelde. Strajk projektowany jest na 14 kwietnia.

Eksplozya gliceryny.

Paryż. W miejscowości Mulasse eksplodowało 600 klg. gliceryny. Dwie osoby zabite, 23 ranne.

KRONIKA.

Dzisiejszy numer „Gazety Poniedziałkowej" składa się z 24 stron.

Dział kobiecy znajduje się na stronie 18. Odpowiedzi z kosmetyki na str. 22.

Usunięcie dra Flacha z komisyi teatralnej.

(Tel. wł. „Gaz. Poniedz.")

Lwów, 24 marca.

Wydział krajowy zawiadomił wczoraj magistrat krakowski, że do komisyi teatralnej mianował ponownie członkiem Jerzego hr. Mycielskiego, natomiast usunął dra Józefa Flacha, w miejsce którego członkiem komisyi mianował profesora uniwersytetu jagiellońskiego dra Estreichera.

(Wiadomość o usunięciu dra Flacha z komisyi teatralnej wywoła żywe zadowolenie).

Wiadomości osobiste. Prezydent miasta i prezes Koła polskiego dr. Leo wyjechał na czas świąt na wypoczynek do Zakopanego.

Wiosna. Ożywiły się pola i łąki! Ludzie jak mrówki niepokoją ziemię, błyszczącym pługiem krają czarną rolę, sypią złote ziarna, lub rzucają szare kartofle w zagłębienia ziemi, pachnącej wilgocią upajającą. Aksamitno zielona murawa raduje oczy przeróżnem kwieciem, wychylającem się wśród delikatnej frenzli traw. Zgasły anemony, śnieguły i podbiały, gwiazdy podróżnika płoną żywo w zawody idąc z dukatową barwą kaczeńca, białe stokrocie jak wiejskie dzieci w koszulkach zabiegają drogę wdzięcząc się skromnością swej szaty. Fiołki delikatną wonią odurzają zmysły. Hiacynty misternymi kwiatami wabią oczy. Ponad kwieciem brzęczą pszczoły, trzmiele, osy. Ptaki radośnie świergocą. Na tle ciemnego szafiru nieba płynie spokojnie bocian, unosząc w koralowym dziobie ciernistą gałązkę na wiązanie gniazda. Swywolne jaskółki przewracają koziołki z uciechy, to niosą w dzióbku glinę do budowy domku rodzinnego. Drzewa pokrywają się delikatnem listowiem i drobnymi pączkami. Strumienie srebrne szeleszczą, a bujna rzeka, jak błękitna gaza ubrana tiulem białym piany w załomach kamieni, płynie raźno wężowymi skręty, wartko w dal. Lasy smerekowe jak maszty wielu okrętów rysują się na tle błękitu, a słońce złotem i promieniami wiąże niebo z ziemią i błogosławieństwo zsyła ciepłem i światłem na przyrodę strojną we wszystkie czary wiosny!

Z niedzieli. W syntezie pierwszego dnia świąt, jeżeli wykluczymy zeń rozkosze podniebienia i żołądka, nie wiele krakowianinowi pozostało wrażeń silniejszych. Miasto było pustawe, ruch niewielki. Korzystając z przepięknego rzeczywiście, prawdziwie wiosennego dnia, krakowianie przeważnie „wyciekli" — i to gdzieś dalej, do Zakopanego i t. p. W sobotę na dworcu odjeżdżających były całe tłumy. Jaki taki **biedny z musu** „pozostalec" błąkał się po mieście beznadziejnie, pozbawiony nawet zwykłego asylum dusz smutnych i samotnych w podwawelskim grodzie — handelku. Ci, którzy stale czerpią otuchę, pokrzepienie ducha i wiarę w lepszą przyszłość narodu z widoku zwycięskich zapasów naszych fotballistów, także doznali zawodu: węgierska drużyna spóźniła się i match rozegra się dopiero dzisiaj.

Słowem, nie było nadmiaru wesołości. Bo i ci, którzy, wierni tradycyi, zrana wesoło i gęsto zakrapiali święcone jaja, po południu znajdowali się już w stanie depresyi. Gdzie to te dawne tęgie głowy! Nie umiemy ię już bawić ani radować świętem po dawnemu. Zrezztą nie mamy tak bardzo i z czego. Cały zapas optymizmu, otuchy i nadziei wyczerpały już artykuły wstępne dzienników świątecznych, bez podania nawet powodów — zwykłemu śmiertelnikowi z tych rozweselających substancyi nic nie zostało. Żaden też fakt na horyzoncie ani wielkiego ani małego życia publicznego równie mu ich dostarczyć nie mógł. Bieda jest, bo była, stagnacya jest, bo była — pieniędzy niema, bo nie było, a tak samo wszelkich widoków na poprawienie się sytuacyi i konjunktur. Chyba to, że wojny także niema, bo — być nie miało... Pewna to jednak pociecha, dla pacyfistów oczywiście.

Mógłby ktoś kronikarzowi zarzucić tu, że zbytnim jest materyalistą, robi ujemny bilans z samych takich poziomych pozycyi. Po pierwsze tak nie jest, bo przecież football..., a po drugie tak być musi, bo kiedyż jest właśnie największej ugniecion, jak nie w czas objadania się i opijania powszechnego? Kto na tem swej szczęśliwości nie funduje, do poddanych króla-brzucha się nie zalicza, temu wczoraj tęskno było, jeżeli jest w jakikolwiek sposób krakowskiej glebae adscriptus. Z zimowego snu wstaje natura, krążą wszędy ożywcze soki, w powietrzu jest coś porywającego, budzą się jakieś loty, pędy w człowieku — a tu siedź... Ale trudno. Zresztą „nie płaczcie smutni": dziś już będą wszelkie duchowe rozkosze — Emaus, football — jutro rękawka, poweseli się ludek. A la bonne heure — wesołych mimo wszystko świąt — jeszcze dwa dni ich mamy przed sobą.

Kasa koncertowa w Starym Teatrze otwarta będzie w poniedziałek i we wtorek od godziny 11 przed południem do godziny 1 w południe i sprzedawać będzie bilety na wieczór Wagnerowski orkiestry wiedeńskiej: Tonkünstlerverein pod dyrekcyą Oskara Nedbala, który odbędzie się 3 kwietnia oraz na wieczór sonat Daisy Kennedy i profesora Ebla, który się odbędzie dnia 9 kwietnia.

Zofia Zdziennicka, sympatyczna warszawska wirtuozka na cytrze urządza w dniu 29 bm. w sali Ehrbara w Wiedniu koncert ze spółudziałem p. Franciszka Freszla śpiewaka operowego, znanego z występów kabaretowych w „Ulu". Koncert budzi żywe zainteresowanie wśród kolonii polskiej w Wiedniu.

Starcie na Prądniku Czerwonym i to z krwawym wynikiem, miało miejsce w nocy z wielkiej soboty na niedzielę. Walczyli ze sobą dwaj żołnierze, którzy, nie bacząc na „demobilizacyę", salwowali nie tylko broń, ale i animusz iście wojenny. W rezultacie jeden przebił drugiemu klatkę piersiową, tak głęboko, że aż powietrze dostało się do opłucnej — i sam, co już zgoła zwycięzcy nie przystało — drapnął. Do rannego wezwano pogotowie, które po opatrzeniu go, odstawiło go do szpitala św. Łazarza. Ranny jest szeregowcem 56 p. p.

Pan Cap się bawi... Ulegając ogólnemu militarystycznemu prądowi, zapragnęli zabawić się w ludzi wojennych, pp.: Wojciech Łukasiewicz i Adam Cap, prezes stow. stróżów katolickich. W tym celu zaopatrzyli się w rewolwer, jakąś srogą machinę starego systemu 9 milim. kalibru, i w ogrodzie domu przy ul. Szlak l. 40 rozpoczęli strzelaninę — do celu, dajmy na to. Udało im się jednak cel raz ominąć i ten właśnie nabój trafił przechodzącą w tem miejscu ulicą Szlak, służącą z zakładu Helclów 30 letnią Julię Natanek — dokładnie w kość policzkową. Na szczęście rana nie jest zbyt poważną, ponieważ kula najpierw przebiła parkan i straciła na impecie. Postrzeloną opatrzyło pogotowie, a z niefortunnymi strzelcami spisała protokół policya.

Samobójstwo. Samobójstwa mnożą się w ostatnich dniach w Krakowie. Odbierają sobie życie ludzie z różnych sfer towarzyskich. W sobotę, na samo zakończenie przedświątecznego tygodnia, w którym kroniki przyniosły aż trzy samobójstwa, otruł się jakimś kwasem mineralnym bronzownik 30 letni Michał Woźnica, zamieszkały przy ulicy Biskupiej l. 11. Wezwane o godzinie 5 m. 40 popołudniu pogotowie mogło już tylko stwierdzić niemożliwość jakiegokolwiek ratunku i śmierć. Zwłoki samobójcy zabrała trupiarka. Co było powodem, że ten człowiek w przededniu świąt, kiedy najbardziej zahukana przez los istota ma chwilę wytchnienia i wesela — położył kres swemu życiu — niewiadomo.

Malarz Herostrat. Onegdaj w Budapeszcie malarz Antoni Berkes, podobno jeden z najznakomitszych węgierskich malarzy, pociął własną ręką trzy swoje obrazy i to w dniu otwarcia wystawy wiosennej węgierskich malarzy. Pociął je dlatego tylko, że zostały źle powieszone. Tak przynajmniej twierdził on sam. Wypadek niebywały. Artysta własną ręką, względnie scyzorykiem, niszczy własne dzieła z powodu obrażonej próżności. Wypadek, który może wytłómaczyć chyba dość zniszczony system nerwowy, bo nawet łatwa zapalność madziarskiego temperamentu na to nie wystarcza. Sprawa ma zresztą swoją stronę prawną. Bo zniszczenie własnego dzieła przez artystę narusza z pewnością w ostatnim rzędzie prawo i naturalny stan posiadania narodu, a jeśli artysta jest istotnie wielkim, to całej ludzkości.

Przy tej okazyi warto wspomnieć o innych artystach, którzy odebrali światu dane mu rzeczy. Najbardziej znanym jest wypadek z Botticellim, który pod wpływem Savonaroli w przystępie chorobliwej askezy zniszczył cały szereg swoich cudownych obrazów.

Poeci niejednokrotnie niszczyli dzieła ze swojej młodości, jak n. p. Goethe, który spalił kilka tomów swych najwcześniejszych utworów.

Ryszard Wagner nosił się z zamiarem zniszczenia swojego „Zygfryda". Chciał on go raz wystawić, raz narodowi pokazać — a następnie spalić partyturę i tekst, aby inni dążyli do tego, by stworzyć dzieło podobne.

„GAZETA PONIEDZIAŁKOWA"

wychodzi zawsze w poniedziałki o g. 6-tej rano i jest do nabycia na dworcach kolejowych, w agencyach i biurach dzienników.

KORESPONDENCYE.

Zakopane. (Nowe śniegi. — Wieczór artystyczny I. Solskiej). Po kilku dniach odwilży i wiatrow, nagły mróz i śnieg przywdziały Zakopane w prześliczną biel i dały sposobność narciarzom do wycieczek. Gęsty 80 cm. prawie wysokości sięgający śnieg sprowadzi zapewno do Zakopanego licznych narciarzy z kraju na Wielkanocne Święta. W ruchu artystycznym Zakopanego, poważną rolę odegrał pierwszy wieczór Ireny Solskiej, urządzony na korzyść tutejszej biblioteki publicznej, która więcej niż inne Instytucye potrzebuje finansowego poparcia i pomocy. Wieczór powiódł się zarówno artystycznie jak i kasowo. Sala „Morskiego Oka", zaniedbana w tym roku i zniszczona przez kinematograf, została na ten wieczór odświeżona i zaprowadzono w niej nawet światło elektryczne. Program wieczoru składał się z części koncertowej i scenicznej. W pierwszej wziął udział prof. Zygmunt Szwarcenstein, utalentowany skrzypek krakowski, który odegrał z powodzeniem kilka utworów, tudzież prof. Stanisław Bursa, śpiewak estradowy, który na estradzie zakopiańskiej stawał po raz pierwszy. Ze smakiem dobrane utwory, artystyczne wykonanie tychże, miły o jasnym dźwięku głos i dykcya jaką niewielu śpiewaków posze[illegible]

skały wybornemu temu artyście uznanie audytoryum oraz nader rzęsiste oklaski. Obu koncertantom akompaniował Prof. Wallek-Walewski.

P. Irena Solska, witana niezwykle owacyjnie, uraczyła zebranych deklamacyą, a nadto przepysznem odtworzeniem postaci Anusi z Molierowskiej „Szkoły żon“. Współgrającymi w Molierze byli pp.: Newestiukowa, Baranowski i Bielecki, którzy dostrajali się doskonale i podnosili swym współudziałem artystyczną i zjawiskową grę P. Solskiej. Drugi wieczór p. Solskiej na ten sam cel, powtórzony zostanie w sanatoryum Dłuskiego.

TEATR ŚWIETLNY „UCIECHA“, Starowiślna 16.

Od niedzieli, dnia 23 włącznie do piątku dnia 28 b. m.: „Leon flirtuje“, lekka komedyjka francuska (Gaumont); „Poświęcenie i duma kobiety“, dramat w 2 częściach firmy Nordisk; trzy humoreski, jedna z Maksem Linderem; „Ogniwo“, dramacik; Karnawał w Nicei, z pochodem masek i pajaców. Morskie planktony, zdj. z fal; krajobraz jesienny (natura); najnowszy Przegląd Tygodniowy.

Niedziela, poniedziałek i wtorek (dni świąteczne) od 2½ do 11. Dalsze dni powszednie od 4½ do 11. Ostatni program o godz. 9.

Z teatru Nowości. Wesoły program świąteczny zdobył na premierze olbrzymi sukces. Ruchliwa dyrekcya dołożyła wszelkich starań, nic więc dziwnego, iż rozbawiona publiczność z prawdziwie świątecznym zapałem oklaskiwała każdy poszczególny punkt tego atrakcyjnego programu. Doskonale grane krotochwile z udziałem całego personalu teatralnego, oraz część varietowa — tym razem bardzo obfita — na którą złożyli się doskonali ekscentrycy amerykańscy, oraz zabawni śpiewacy i muzykanci z bruku paryskiego. Miłą niespodzianką był występ Maryi Gumińskiej, nowo wschodzącej gwiazdy na deskach teatralnych, która z niezwykłym temperamentem odtańczyła znakomicie taniec hiszpański. Resztę programu okrasił swym występem dyr. Poleński, który jak zwykle cieszył się powodzeniem. Publiczność zapełniła widownię tego sympatycznego teatrzyku do ostatniego miejsca bawiąc się, dowcipkując z prawdziwie świąteczną ochotą.

Najbliższe odjazdy okrętów Linii Hamburg-Ameryka z Hamburga. Do Nowego Jorku: parowiec „Pretoria“ 27 marca, „Ameryka“ 29 marca“, „Pensylwania“ 3 kwietnia. Nowalinia do Bostonu: parowiec „Cincinntati“ 21 maja, „Cleveland“ 8 czerwca, „Cincinnati“ 25 czerwca. Do Filadelfii: parowiec „Książę Oskar“ 25 marca, „Hrabia Waldersee“ 2 kwietnia, „Książę Adalbert“ 19 kwietnia. Do Kanady: parowiec „Belgic“ 28 marca, „Hannover“ 4 kwietnia, „Willehad“ 11 kwietnia. Do Brazylii północnej: parowiec „Rio Negro“, 4 kwietnia, Do Brazylii środkowej: parowiec „Asuncion“ 26 marca, „Cap Roca“ 9 kwietnia, „Cap verde“ 16 kwietnia. Do Brazylii południowej: parowiec „Santa Catharina“ 28 marca, „Santa Lucia“ 25 kwietnia. Do La Plata: parowiec „Król Fryderyk August“ 25 marca, „Cap Ortegal“ 1 kwietnia, „Blücher“ 8 kwietnia, „Cap Blanco“ 15 kwietnia. Do Kuby i Meksyku: parowiec „Ypiranga“ 28 marca, „Spreewald“ 3 kwietnia, „Kronprinz Cecilie“ 14 kwietnia.

Mongolia i Tybet.

Kiedy na widowni aktualnej polityki niepodzielnie panuje nad wszystkiemi sprawami niepokojący kryzys wschodni, w górach Azyi zwolna powstają i dojrzewają kwestye i zawikłania nie mniejszej wagi; za lat parę mogą one zaciążyć na całej sytuacyi międzynarodowej.

Rewolucya chińska, która obaliła dynastyę mandżurską, dała Mongolii i Tybetowi sposobność do zrzucenia zwierzchnictwa rządu pekińskiego. Mongolia pod rządem chutuchty odłączyła się formalnie od Chin i utworzyła nowe państwo, które obecnie po zawarciu umowy w Urdze i przyjęciu misyi mongolskiej w Petersburgu, znajduje się pod faktycznym protektoratem Rosyi. Tybet zaś, który zamierzał wykonać podobną ewolucyę w kierunku Anglii, pozostaje obecnie w położeniu nieokreślonem.

Rząd Juanszikaja nie pogodził się bynajmniej z utratą Mongolii i Tybetu. Co do pierwszej, to jej odpadnięcie jest już obecnie faktem dokonanym i dla przywrócenia swego zwierzchnictwa musiałby rząd pekiński uciec się do akcyi zbrojnej. Atoli umowa, zawarta w Urdze, zapewnia książętom mongolskim pomoc Rosyi. Oczywiście, na konflikt z Rosyą, nie odważyłby się wytrawny polityk Juanszikaj, gdyby nawet rozporządzał pewniejszą siłą zbrojną i większemi funduszami, niż te, jakie rzeczywiście posiada. Narazie zatem pragnie coś wytargować od rządu rosyjskiego i książąt mongolskich, wydaje prócz tego zarządzenia wojskowe, oczekując takiej konjunktury politycznej, któraby mu pozwoliła przemówić do chutuchty innym językiem.

Bądź co bądź kwestya mongolska nie jest jeszcze zamknięta i może się stać przedmiotem sporów oraz czynnikiem zawikłań tem łatwiej, że zawiera kilka punktów nieokreślonych i drażliwych, któremi ociera się o interesy innych państw.

Przedmiotem umowy z Rosyą i jej ewentualnej pomocy nie jest cała Mongolia, lecz tylko jej część t. zw. zewnętrzna, czyli Chalcha. Doradcy chutuchty wzbraniali się podpisywać umowę, uznającą podział Mongolii, ale pełnomocnik Korostowiec oświadczył, że ważne względy nie pozwalają na rozciągnięcie opieki rosyjskiej nad całą Mongolią. Wreszcie obie strony zgodziły się na użycie w tekście umowy nazwy nie Chalchy lecz Mongolii, bez bliższego określenia jej granic.

W ten sposób kwestya pozostała na przyszłość niejako otwartą. Nietrudno odgadnąć, jakie względy powstrzymywały w tym wypadku dyplomacyę rosyjską; napomknął o nich dość wyraźnie minister Sazonow w swej zeszłorocznej mowie dumskiej, podkreślając istnienie w Mongolii wewnętrznej interesów japońskich.

Tymczasem jednak związek moralny pomiędzy Mongolią zewnętrzną a wewnętrzną nie został zerwany .Obie części ciążą nawzajem ku sobie, a nawet istnieje podobno umowa co do solidarnej obrony przeciw Chinom, jeżeli te na którąkolwiek z nich uderzą zbrojną ręką. Tu zatem istnieje źródło prawdopodobnych powikłań. Chiny nie ośmielą się w danej chwili wystąpić czynnie przeciw Mongolii zewnętrznej i rządowi chutuchty, lecz nie będą sobie robiły ceremonii z Mongolią wewnętrzną, do której nie stosuje się umowa, podpisana w Urdze. Ale książęta Chalchy grożą, że nie zostawią swych współplemieńców na pastwę Chin, że w razie starcia rząd Juanszikaja będzie miał do czynienia z całą Mongolią. Możliwym jest więc zbrojny zatarg pomiędzy rządem pekińskim a Chalchą, sprowokowany wbrew woli pierwszego przez drugą. Na podobny obrót rzeczy nie mogłaby pozostać obojętną i Japonia, która, według ostatnich wiadomości okazuje pewną tendencyę do zbliżenia się z Chinami.

NADESŁANE.